z miłości do miasta
na WINNICY
MAGAZYN TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA” | III – IX 2021 | NR 10
ISSN 2544–2880

W samo południe 2 sierpnia 2021 roku nad Zieloną Górą przeleciał sterowiec Goodyear Blimp, wywołując zaciekawienie mieszkańców miasta. Identyczne wydarzenie miało miejsce 24 czerwca 1930 r. o godz. 17.15. Wtedy grünberczycy mieli okazję zobaczyć największy w rodzinie sterowców Graf Zeppelin, który rok wcześniej odbył lot wokół kuli ziemskiej, oblatując glob w 21 dni. Graf Zeppelin powstał w 1928 r. według projektu hrabiego Ferdinanda von Zeppelina w niemieckim Friedrichshafen. Miał długość 236,6 m, średnicę 30,5 m, był napędzany benzyną i gazem. Na pokład mógł zabrać 40 osób załogi i 20 pasażerów na miejscach sypialnych oraz do 15 ton ładunku. Znajdowała się na nim restauracja i miejsca do wypoczynku. Sterowiec mógł rozwinąć prędkość do 128 km na godzinę, jednak zazwyczaj latał z prędkością 100-110 km. Bez lądowania mógł przelecieć do 12 tys. km.

Goodyear Blimp to biało-niebieski statek powietrzny, w 2021 r. uważany za największy na świecie, ma długość 75 m i wysokość 18 m. Sterowiec został wypełniony helem, co zapewnia mu nośność. Jego napęd to trzy czterocylindrowe, 200-konne silniki, umieszczone po obu stronach powłoki i na ogonie. W środku znajdują się miejsca dla 14 osób, w tym dwóch pilotów. Teoretycznie może lecieć na wysokości około 300 metrów z maksymalną prędkością 125 km/godz. przez 22 godziny bez lądowania.

Aerostatek Goodyear Blimp przyleciał do Polski z Czech ostatniego lipca 2021 r. Najpierw latał nad Wrocławiem, skąd doleciał nad Zieloną Górę. Dalej jego trasa prowadziła przez Niemcy do Danii, gdzie towarzyszył wyścigom w pełni elektrycznych samochodów wielu marek.

Obecnie sterowce służą przelotom turystycznym i celom reklamowym. Zdaniem fachowców ich popularność dawno minęła, ponieważ tańsze, wygodniejsze i szybsze są samoloty pasażerskie.

Grünberg w 1930 r. - widok miasta ze sterowca Graf Zeppelin *fot. Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej*

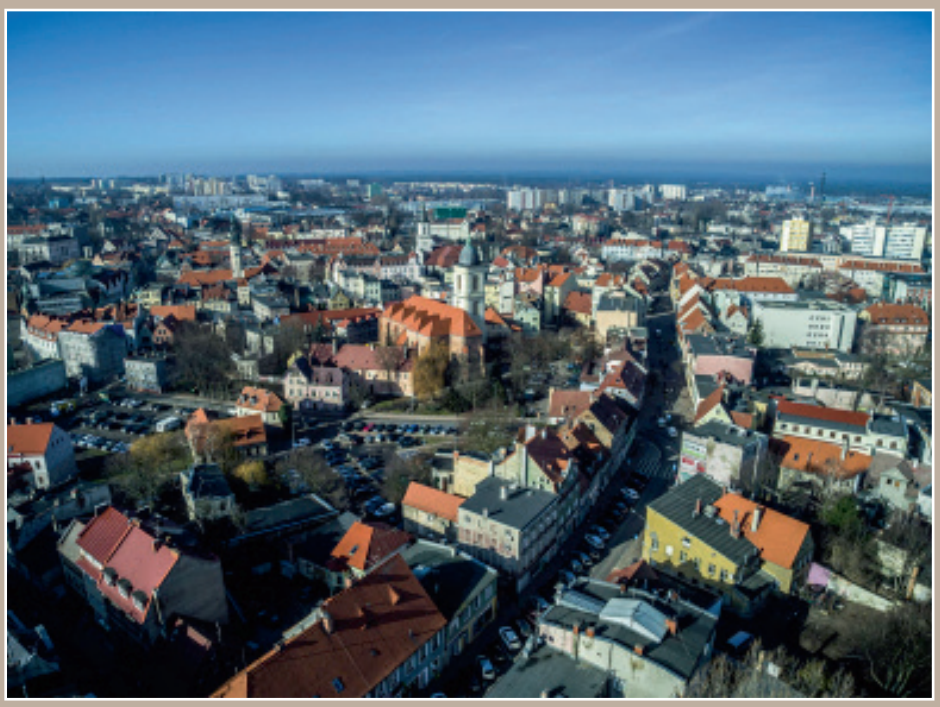

Zielona Góra w 2021 r. – widok miasta, gdyby zdjęcie zostało wykonane ze sterowca Goodyear Blimp *fot. Mateusz Mierzwiak*

Z książką na leżaku

Zielonogórska biblioteka Norwida zaprosiła dziewięcioro autorów książek – litearatów, poetów, regionalistów – cieszących się dużym uznaniem krytyków i czytelników, na wakacyjne spotkania pod nazwą „Z książką na leżaku". W spotaniach odbywających się w ramach Lata Muz Wszelakich wzięli udział: Ałbena Grabowska, Grzegorz Biszczanik, Przemysław Borkowski, Alfred Siatecki, Jarosław Barańczak, Dana Newelska, Agnieszka Olejnik oraz Konrad Wojtyła.

1. *Ałbena Grabowska*
2. *Czytelnicy w kolejce po autograf*
3. *Przemysław Borkowski*
4. *Marzena Rogalska*
5. *Jarosław Barańczak*
6. *Dana Newelska*
7. *Biblioteczna sala im. Janusza Koniusza zawsze była pełna zielonogórzan*

fot. Archiwum biblioteki Norwida

W NUMERZE:

Wokół ratusza
Z książką na leżaku 2

Od redakcji
Wyjątkowo udany eksperyment 3

Widok z góry
Pod betonowym sercem 4-6
Miasto na podium 6

Adresy
Stary Rynek 22 7

Ponad słowami
Bardziej hobby niż zawód 8-10
Było takie wydawnictwo 11
Periodyk nie tylko dla bibliotekarzy 12

Poezja
Moje miasto, Leśny staw, xxx 13

Proza
Zanim rozpęta się piekło 14-16

Recenzje i omówienia
Szum zieleni i ptasi śpiew 17
Warunki tej miłosnej gry 18-19
Artyści stąd 19
Bogactwo naturalne 20

Prosto z miasta
Jak się człowiek zakocha, to ślepnie 21-22
Degustacja komentowana 22-23
Wpadki, gafy i inne dziwne przypadki 24
Włóczęga to już tylko historia festiwalu piosenki 25-26

Na wzgórzach
Wesoły jak grünberczyk 27
Ojciec wina musującego 28
Drugi rektor pochodził z Poznania 29

Nad Złotą Łączą
Półtora wieku kolei 30
Takie były początki koszykówki 31-33

Wspomnienia
Codziennie idę i codziennie bliżej 34-36

Konkurs
Karykaturzyści pokochali maski 37

Komunikat/Kronika
Pomysłowi na start 38
Od wiosny do jesieni 38

Po godzinach
Filharmonia skończyła 65 lat 39

Gdzie indziej
Zakochani po uszy w Kresach Wschodnich 40

Wyjątkowo udany eksperyment

Nie do końca zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że najważniejszym wydarzeniem w powojennej historii Zielonej Góry było utworzenie uniwersytetu w 2001 roku. Najważniejszym wydarzeniem było podniesienie Zielonej Góry do rangi miasta wojewódzkiego w 1950 r. Utworzenie uniwersytetu (wcześniej WSI/PZ i WSN/WSP) zdarzyło się właśnie dlatego, że Zielona Góra była miastem wojewódzkim. Proszę zauważyć, że w Rzeczypospolitej uniwersytety klasyczne są wyłącznie w miastach będących ośrodkami regionalnymi.

Najpierw zmiana znaczenia Zielonej Góry i później utworzenie uniwersytetu spowodowało to, że na przykład szpital wojewódzki stał się szpitalem uniwersyteckim, w którym opiekę medyczną sprawują lekarze z tytułami naukowymi. Zresztą osób z tytułami naukowymi chyba jest nadmiar w mieście. Znam doktorów, których wiedzy nikt nie chce wykorzystać, robią więc to, co by mogli robić absolwenci zawodówek.

W jednym absolwenci zawodówek nie są w stanie zastąpić absolwentów szkół wyższych. W twórczości literackiej, naukowej, publicystycznej. Utworzenie uniwersytetu spowodowało, że wielu maturzystów powiatowych liceów na miejsce edukacji na wyższym poziomie wybiera Zieloną Górę. I na ogół w niej zostaje po ukończeniu studiów. Proszę przejrzeć biografie kabareciarzy, malarzy, pisarzy, dziennikarzy. Pewnie gdyby na miejsce studiów wybrali Poznań czy Wrocław, także by szydzili i rozśmieszali, malowali, pisali, ale nie tu. Prozaik i dziennikarz Zygmunt Trziszka w książce „Mój pisarz" napisał: „Było tak: zostałem zupełnie nieopierzonym mieszkańcem wojewódzkiej Zielonej Góry i zacząłem służyć w »Gazecie Chłopskiej«. Zielona Góra była pewnie najlepszym miejscem na ziemi, gdzie można było uprawiać »selfmademaństwo«. (...). Z tego eksperymentu miasto ma dziś własnych profesorów i docentów, poetów i dziennikarzy".

I prozaików. Chyba nigdy nie związało się z Zieloną Górą aż tylu autorów powieści i zbiorów opowiadań ilu ostatnio Wszyscy byli tutejszymi studentami. Miasto jest obecne w ich książkach. Zofia Mąkosa stworzyła cykl „Wendyjska winnica". Dwa lata wystarczyły Aldonie Reich na wydanie czterech powieści. Dana Newelska zabiera się za pisanie trzeciej powieści. Barbara Bilińska-Stecyszyn ma na swoim prozatorskim koncie dwie książki. Jako pisarka Barbara Wysoczańska niedawno ujawniła się bardzo dobrze przyjętą przez czytelników powieścią „Narzeczona nazisty". Alina Polak-Woźniak zadebiutowała w sierpniu 2021 r. jako współautorka powieści „Zabójcze ajlawiu". Męski zastęp prozaików również jest spory i robotny. Nagrodzona Lubuskim Wawrzynem Literackim opowieść Krzysztofa Fedorowicza „Zaświaty" znalazła się w finałowej siódemce kandydatów do nagrody Nike. Krzysztof Koziołek to autor 20 powieści kryminalnych i obyczajowych. Książek z nazwiskiem Marcin Radwański na okładkach wyszło blisko dziesięć. Podobnie rzecz się ma jeśli chodzi o Eugeniusza Kurzawę i Roberta Rudiaka. Gdyby ogłoszono plebiscyt na najbardziej zapracowanego prozaika początków XXI wieku, w pierwszej trójce byłby Przemysław Piotrowski. Jeszcze są ostatnio milczący: Mirosław Kuleba, Edward Derylak, Czesław Markiewicz.

Tylko z braku miejsca pominąłem poetki i poetów.

Alfred Siatecki

Redagują:
Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak, **Alfred Siatecki – redaktor naczelny,** Sylwester Woźniak
Projekt winiety – Wacław Serdeczny. Projekt layoutu, skład Emilia Ćwilińska.
Numer zamknięto 1 października 2021 r.

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37, e-mail: tmzg-winnica@o2.pl, www.tmzg.org.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG. Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada

Stanisław Kwiatkowski

Pod betonowym sercem

Zielona Góra jest położona na 51 stopniu długości geograficznej północnej i 15 stopniu długości geograficznej wschodniej. Zapis kartograficzny od wieków niezmienny, nic jednak nie mówi o dziejach miasta i jego mieszkańcach.

Świat, jaki postrzega człowiek, jest uzależniony od świata wewnętrznego bohatera, ponieważ, jak wiadomo, najważniejsze jest niewidoczne dla oczu, jak napisał Antoine de Saint-Exupéry w „Małym Księciu". To właśnie perspektywa kreuje charakter i kształt otoczenia.

Moja obecna perspektywa jest tylko i wyłącznie efektem kilku konfliktów wewnętrznych i niczym ponad uczucie chwilowego odstąpienia od rzeczywistości na rzecz wsłuchania się we własny monolog, który zwykłem chować w samotności. Mówi się, ignorantia iuris nocet, czyli nieznajomość prawa szkodzi, dlatego warto jest znać swoje prawa i z nich skorzystać, więc czemu nie miałbym skorzystać z prawa głosu tudzież prawa wyrażania własnej opinii.

Tego zimowego wieczoru, kiedy mróz skrzypi pod stopami, a wiatr kłuje w gardło za każdym razem, kiedy chce się wziąć oddech, postanowiłem zabrać swoje roztargnienia na spacer po Zielonej Górze. Obraz miasta z każdym jednym moim krokiem przechodzi pewną zmianę. Czasem pędzla jak szabli dobywa Ludwik de Laveaux, kreśląc plac operowy w Paryżu, a innym razem oddaje oręż na rzecz Beksińskiego. Zmiany są wielopłaszczyznowe i niebywale subiektywne. Znajdą się tacy, co uznają, że brak tu modernizmu budynków nowoczesnych jak biblioteka uniwersytecka czy sam Uniwersytet Zielonogórski, zaś inni uznają, że to na ratuszu i poniemieckich kamienicach powinno się budować wizerunek.

I tak się zmienia krajobraz w moich oczach, ani na lepsze, ani na gorsze, zwyczajnie na inne. Można to zdanie powiedzieć bez zbędnego patetyzmu, tak często doświadczanego wśród wszelakich jednostek piastujących wysokie stanowiska w zarządzie.

Ale jest mi wysoce daleko od oceny architektury, jak i tym bardziej ludzi zarządzającymi finansami publicznymi. Miasto jest ciekawe, z tym że jego rzeczywisty obraz nie ma tu większego znaczenia. Brzmi to pretensjonalnie, więc do rzeczy.

JAKBY PIJANI

W szczególności nocą, kiedy ciężko stwierdzić, czy jest późno, czy może już wcześnie, zabudowania przybierają intrygującą postawę. Gdybym mógł to do czegoś porównać, porównałbym to z pracą organizmu. Jednakże bynajmniej nie chodzi mi o przytoczenie haseł pozytywistycznych jak praca organiczna bądź praca u podstaw', ale chodzi mi o to, że miasto łudząco przypomina wnętrze ogromnego potwora pokroju Lewiatana.

Niebo otoczone chmurą smogową imituje tkankę miękką. W cieple świateł latarni nieboskłon staje się pomarańczowy, jak gdyby zaabsorbował toksyczny opad po uderzeniu bomby wodorowej.

Kontynuując przechadzkę po szkieletach murów i drogach ścięgien. Obserwuję puste chodniki w dzień przepełnione krwinkami, które starają się jak najszybciej przetransportować ważny dla nich element z punktu jeden do punktu dwa. Wykonują pracę dla siebie istotną. Często zapominając o własnym zdrowiu czy choćby odpoczynku. Krwinkami są rzecz jasna sami mieszkańcy, którzy niepoczytalnie wypalają się jak papierosy. Otulając się wzajemnie smolistą, równomierną beznadzieją. I szukają filtrów, co zwiększą jakość ich życia. Coraz częściej wpadając w samonapędzający się kierat. Byle szybciej, byle więcej, byleby było, byleby być, byle co, byle jak. Każdą możliwą drogą uciekam od wrażenia, że organizm choruje na nowotwór bylejakości. Ludzie-papierosy owinięci w białą skórę z bibuły. Organizm powoli zaciąga się człowiekiem i wypala jego godność. A gdy już wypali się dostatecznie mocno, człowiek staje się niedopałkiem. Wyzuty z emocji i zawartości.

Gdy człowiekowi jest smutno, to nawet okna budynków wydają mu się obserwować jego poczynania i chcąc mu współczuć z rozpaczy, zaczynają płakać brudem. Przypominają rozmyty makijaż na chorej cerze albo obrazy Paula Pollocka pod podkrążonymi oczami. A oblicza tych budynków na domiar posiadają matową skórą cierpiącą na łuszczycę. Wielokrotnie rozdrapywane przez wiatr i rozsadzane przez zamarzniętą wodę, ściany odsłaniają ciemnoczerwoną ceglaną ranę.

Aż chciałoby się krzyczeć, jednak nikt nas nie usłyszy. Dlaczego? Ponieważ wszyscy inni też krzyczą. Nikt nie usłyszy bliźniego, bo każdy skupiony jest na własnej rozpaczy.

Takim sposobem mamy więcej ludzi chcących być wysłuchanych, niż ludzi chcących nas wysłuchać. Wtedy to właśnie słuchanie i doradzanie, staje się odwarem, przybierającym na zapotrzebowaniu. Nazywamy to wówczas terapią, spotkaniem z psychoanalitykiem czy też psychoanalizą, za którą jesteśmy w stanie płacić niemałe pieniądze, przez których to zdobycie właściwie nabawiliśmy się problemów natury psychicznej.

Pomiędzy zabudowaniami nawet niewprawionym okiem możemy dostrzec poranioną nowomiejską wątrobę, chorą, zużytą i wytartą. Wyniszcza ją problem, który został wszczepiony społeczeństwu jak szósty zmysł. Jego źródła można doszukiwać się w czasach, kiedy Rzeczypospolitą karmił komunizm, a bezsilność wobec rzeczywistości zmuszała ludzi do nadmiernego spożywania alkoholu. Wytworzył się u nas mit picia, picia ze smutku, picia z radości, picia, żeby załatwić sprawę, picia, by pokazać, że jest się twardym, picia, żeby tylko pić. Mimo że komunizm upadł w roku 1989, skutki wciąż są żywe. Gdzie? W każdym z nas. W naszych nawykach i odruchach. Kiedy komuś pęka serce, wówczas niemal widzimy moment w jego życiu, jak chwyta butelkę z wysokoprocentową zawartością i stara się mniej czuć, stłumić ból i uniknąć tragicznych refleksji dotyczących własnego samopoczucia. Każdy choć raz, nawet nie będąc tego świadomym, odbył podróż z Moskwy do Pietuszek u boku Wieniedikta Jerofiejewa. Na pierwszy rzut oka to jest normalne, bo sami daliśmy na przyzwolenie. Bądź co bądź wszyscy jesteśmy jakby pijani, odrobinę otępiali dla różnych z różnym działaniem. Jedni opuszczają głowę i płaczą drudzy tracą przytomność,

a jeszcze inni robią z tego pieniądze. Wprawdzie to może jest jedną z nielicznych rzeczy, które spajają komórki betonowego potwora. Ta potrzeba ucieczki od samego siebie, od wrażliwości na rzeczywistości, bo tak jest łatwiej. Ucieka każdy, ale większość to ukrywa i unika rozmów na ten temat.

MIASTO NIECO ZZIĘBNIĘTE

Sowietyzm dalej czuć w mieście. Zielona Góra zawiera w sobie swego rodzaju kontrastowość, ponieważ z jednej strony mamy poniemiecki charakter zabudowań zaś z drugiej sowiecką tęgość molochów z wielkiej płyty. Co ciekawe, niemiecka część historii miasta została wyrugowana w latach powojennych. Przytacza się zwykle światły okres panowania Piastów i Jagiellonów, następnie krótko wspomina się o wiekach panowania państwa germańskiego, najczęściej określając go czasem trudnym, a następnie opisuje się wielką odbudowę miasta w czasach powojennych. To tak jakby mówiąc o historii Tarnopola bądź Grodna, pominąć jej polską część.

Przeszedłem już dość alejek i ulic, siadam więc na ławce w parku. Którym? Może w parku Winnym, którego nazwa ma się kojarzyć z dewizą miasta, czyli wyrobem wina, a może w parku Piastowskim, którego to nazwa z kolei przypomina czasy poczynań radzieckiego aparatu partyjnego i okres, kiedy wpajano Polakom na tzw. mit piastowski na Ziemiach Odzyskanych. Żeby ludzie mieli poczucie, że coś odzyskali, a nie, że otrzymali tę ziemię w ramach rekompensaty za utracone Kresy Wschodnie. To nie ma znaczenia.

fot. Daniel Jung

Na Winnym Wzgórzu
Dziennik „Niederschlesisches Tageblatt", 23 marca 1906 r.: „Przed około 1000 lat Śląsk znajdował się pod polską władzą. My grünberczycy przypominamy sobie z tamtych czasów pewien kamień leżący na tak zwanej Ceglanej Górze, na którym widnieje napis »Zielona gora, der grüne Berg«. Temu wzgórzu właśnie miasto zawdzięcza swoją nazwę Zielenberg".

Za jakiś czas zrobi się widno, ale póki co wsłuchuję się w bicie potężnego serca organizmu, pod którym wszyscy żyjemy. Lada moment słońce zacznie podświetlać firmament. Wtedy lekki uniesie się wiatr, a to będzie oznaczać, że miasto wstało, przeciąga się i ziewa, będąc nieco zziębnięte. Przywieje ludzi, czekających na autobus, a ten z kolei zabierze ich do pracy oraz przywiezie tych, którzy już z pracy wracają. Niczym wspomnienie krwinki, które wracają do płuc po tlen, trochę odsapnąć i na ponów dnia następnego ruszyć w drogę. Najpewniej kiedy wrócą już do swoich domów, przygotują jedzenie i wykonają kilka czynności związanych z prozą życia, usłyszą w reklamach a to w telewizji, a to w radiu kilka do kilkunastu komunikatów o życiu na poziomie, kilka sposobów na stanie się miomerem, może drugim Jeffem Bezosem, parę pięknych szczęśliwych ludzi, których wyimaginowany wizerunek tylko powiększa kompleks, kilkanaście afirmowanych przepisów na zdrowe żywienie w postaci nasion goi w jogurcie dwa w cenie jednego. Miło się słucha takich komunikatów, kiedy na blacie w szarej szklance bulgocze nam smolisto czarna kawa, której towarzyszy biały chleb z tanią gołdą polaną keczupem. Oczywiście to wyłącznie moje domniemania, nie zwykłem zaglądać w cudze życie. Nie ma tu cienia ironii.

Z moich obserwacji wynika, że tutaj ludzie znają bardziej hasła oraz jingle podane w reklamie, niżeli jakikolwiek wers z „Sonetów krymskich" Mickiewicza czy jakikolwiek fakt z życia Puszkina. Przerażające jak bardzo media wtargnęły w nasz światopogląd i z jaką łatwością nastąpiła ich afirmacja.

A można dojść do paskudnej konkluzji, że wkrótce również ludzkie przemyślenia będą miały kod kreskowy i będzie je można wykupić za banknot o niskim nominale. Choć statystyka podpowiada, że przynajmniej w kilku procentach moje przypuszczenia są realne.

PO PROSTU MIŁOŚĆ

Najprawdopodobniej, szanowny Czytelniku, zastanawiasz się, co w istocie implikuje moją bezsenność, która pcha mnie do takich nocnych przechadzek po wyludnionych ulicach. Odpowiedź brzmi: miłość.

Jakież to prozaiczne i człowiecze. Po prostu miłość. Przez to człowiek nie śpi, nie je, nie koncentruje się na niczym. Raduje się i cierpi. A ponoć cierpienie dodaje szlachetności. Lecz próżno we mnie szukać cierpień Wertera czy rozważań Wokulskiego. Ilekroć otwieram się przed kimś, aby zrefleksować się o swoich emocjach, mam poczucie, że robię komuś krzywdę, przelewając na kogoś swoją refleksje. Dlatego też nie jestem wylewnym w stosunku do innych. Wolę spisać swoje żale, wyjść, gdzieś wyjechać mimo wszystko sam. Może to mój błąd. Może to moja własna paranoja. Z której to powodu postanawiam zżywać się na poziomie literackim z obrazem miasta. To, że się komuś wygadam, nie sprawi, że wszystko się zmieni, a to, co dostanę w zamian, to garść banałów, rad, do których się najpewniej nie zastosuję i parę prawd starych jak Rzym. Można przypuszczać, że to, co odczuwam, to miłość tragiczna i niespełniona. Wywołana już nie samym brakiem ukochanej, a brakiem emocji, jakie towarzyszyły wspomnieniom, w których de facto ukochana brała udział. Tęsknota za poczuciem bycia ważnym dla jednej osoby, za poczuciem bezpieczeństwa i poczuciem wzajemnego zaufania. I to ciepło... kiedy wszystko dookoła przytula chłód.

Ale gdy myślę o niej, przypomina mi się całkiem inna Zielona Góra. Już nie taka chłodna, w żaden sposób nie przypominająca lodowatego rosyjskiego Norylska, gdzie przełyk drapie toksyczny smog, większość ludzi to zatrute pracą zombie bez cienia refleksji, a zima trwa przez większość roku, a resztę stanowi jesień. To miasto pokroju Paryża czy też Mediolanu. O niezwykle nasyconych barwach z przepięknymi szklanymi budynkami przypominającymi szklane domy z wyobrażeń bohaterów Żeromskiego. Zdawało się, że niebo jest gwiaździste każdego wieczoru, a księżyc tak blisko ziemi, że mógłbym po niego sięgnąć dłonią i rozkroić niczym pomarańcze. Właśnie pomarańcze, to właśnie one tworzyły nasz własny slang. Nikt nigdy nie zrozumie w pełni, co dla mnie oznaczają pomarańcze. Bynajmniej nie chodzi tu o owoc cytrusowy, a o jedną szczególną emocję, której jak dotąd nikt nie nazwał i nie zdefiniował. Więc może ja zuchwale podejmę się tej karkołomnej próbie. Jestem przekonany, że każdy z nas oprócz uczuć definiowanych jak: zakłopotanie, smutek, gniew, wstyd, szczęście ma kilka emocji, które nie pasują do żadnej rubryk. Ich zdefiniowanie wymaga szeregu słów i co najmniej kilu zdań. Dla przykładu, prościej powiedzieć: czuję ulgę, niżeli mielibyśmy użyć erudycyjnych sformułowań, nie mając pewności, że zostaniemy całkowicie zrozumiani. Tak więc oto pomarańcza stała się dla mnie takim właśnie słowem-kluczem, wytrychem, który określa specyfikę emocji."Pomarańcza to epizod, bardzo silny sentyment, którego nie można otworzyć, bardzo silny i jednocześnie niesłychanie prosty i zwykły, ale paradoksalnie wyjątkowy. Jak obieranie z kimś ukochanym pomarańczy w ciepły letni dzień. Jednocześnie nie wiedząc, że kochamy tę osobę i równolegle podświadomie mamy tego świadomość. I jednej z pierwszych myśli, że jesteśmy zakochani towarzyszy pomarańcza i element ubrania ukochanej, jakim jest pomarańczowa bluzka, duży słomkowy kapelusz, najbardziej dowcipne zadania rzucane mimochodem i jedna z naszych niedocenianych zespołów, który akurat gra w radio. Żywię głęboką nadzieję, że choć odrobinę udało mi się przybliżyć moje znaczenie słowa pomarańcza.

I te jej oczęta błękitne jak u Elizabeth Taylor. Pigment ich siatkówki był tak intensywny, że mógłbym się w nich zanurzyć. I ten uśmiech, co stopiłby najsroższą zimę. Wspominanie o niej zawsze budzi ciepło w umyśle, lecz tęsknota, która następuje chwilę po wspomnieniach, powoduje, że zapominam o tym cieple i zaczynam bardziej odczuwać chłód.

Więc jaka jest diagnoza? Rozdarte wewnętrzne w sercu antyutopii? A może zatapiając się w strukturze miasta trafiłem do jego żołądka i jestem w trakcie powolnego rozkładu trawiennego? A może to tylko farsa ze szczyptą polotu? Wprawdzie serce wyzdrowieje i znów poczuję przyjemne ciepło. Bo jednak nie jest tak źle. Ciemność służy tylko do przykrycia wszystkich jasnych stron życia. Smutek jest tylko po to, żeby intensywniej odczuwać radość. A miasto z kolei jest tylko zbiorem ludzi i kilkunastu zabudowań, jednak nie można mu odmówić uroku. Jednakże sam urok kreują uczucia, emocje i nasza osobista wizja świata. Już Zieloną Górę wita świt. Wielka szkoda, że w obecnych nomofobicznych czasach zapominamy cieszyć się chwilą. Widok złotego słońca daje nadzieję, która jest nam tak potrzebna. Chodź zdarza się, że całe lata żyjemy zimną nocą.

Miasto na podium

Prezydent się cieszy. Mieszkańcy są podzieleni. Naukowcy zrobili swoje. To znaczy ustalili kolejność miast na liście zrównoważonego rozwoju w 2021 r. Zielona Góra znalazła się na trzecim miejscu w kraju.

Od czterech lat firma Arcadis, wspierana przez uczonych z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu i Uniwersytetu Zielonogórskiego, prowadzi ranking polskich miast zrównoważonych. Badacze wzięli pod uwagę gospodarkę, środowisko i społeczeństwo w 50 ośrodkach miejskich. Są wśród nich centra regionalne, miasta wojewódzkie i największe miasta na prawach powiatów. Region lubuski reprezentują Zielona Góra i Gorzów. Polski ranking nie jest nowością na świecie, bowiem od lat ukazuje się raport dotyczący stu metropolii. Po co robi się takie badania i podaje się je do publicznej wiadomości? Twórcy przekonują, że „celem tego zadania jest popularyzacja idei zrównoważonego rozwoju i dostarczenie władzom miast użytecznego narzędzia pomiaru tej koncepcji".

Układając ranking, naukowcy wzięli pod uwagę 19 dziedzin i 45 wskaźników szczegółowych obejmujących takie obszary, jak społeczeństwo, środowisko i gospodarka. Chodziło między innymi o zdrowie i dostęp do opieki zdrowotnej, edukację, jakość powietrza, obecność zieleni w strukturze miejskiej, wydatki inwestycyjne, sytuację na rynku pracy, przedsiębiorczość mieszkańców, stan infrastruktury transportowej, gospodarkę odpadami, dostępność do urządzeń sieciowych. Zdaniem badaczy te wskaźniki pozwalają na ocenę miast pod względem demografii, kultury, ubóstwa, bezpieczeństwa i aktywności społecznej mieszkańców.

W klasyfikacji ogólnej pierwsze miejsce zajęła Warszawa. Na drugiej pozycji uplasował się Toruń, a tuż za nim Zielona Góra. Czwarte miejsce przypadło Rzeszowowi, piąte Poznaniowi. Dziesiątkę uzupełniają: Bielsko-Biała, Olsztyn, Gdańsk, Koszalin, Lublin i Białystok. Gorzów znalazł się na 20 miejscu. Pozostali nasi sąsiedzi brani pod uwagę zajęli miejsca: Wrocław – 12, Legnica – 32, Jelenia Góra – 18, Szczecin – 25. Ostatnie miejsca w rankingu należą do: Włocławka, Bytomia, Jaworzna Rudy Śląskiej i Chorzowa. W kategorii społeczeństwo zwyciężyła Warszawa przed Krakowem i Poznaniem. Zielona Góra zajęła dziewiąte miejsce. W kategorii gospodarka na najwyższym podium znowu znalazła się Warszawa, na niższych stopniach Gdańsk i Wrocław. Zielona Góra dopiero na 24 miejscu, Gorzów na 11. Liderem w obszarze środowisko został Koszalin, wyprzedzając Gdynię i Grudziądz. Zielona Góra jest trzecia, Gorzów – 27, a Warszawa – 42.

Ps. W rankingu najbardziej ekologicznych miast w 2021 r. Zielona Góra jest na 25 miejscu. Ten wyścig wygrał Lublin przed Katowicami i Łodzią. Sąsiedzi na miejscach: Wrocław – 8, Poznań – 9, Jelenia Góra – 32, Legnica – 47, Gorzów – 48. Uniwersytet Zielonogórski znalazł się na 50 miejscu w rankingu Perspektyw 2021 wśród 100 uczelni akademickich wziętych pod uwagę i na 16 wśród uniwersytetów. Pierwszy jest Uniwersytet Jagielloński, drugi – Uniwersytet Warszawski.

DJ

Alicja Błażyńska

Stary Rynek 22

Polonia, twierdzi Henryk Ankiewicz w „Przechadzkach zielonogórskich", „była najatrakcyjniejszą kawiarnią w mieście, siedzibą zielonogórskiej bohemy. Tu koncentrowało się życie towarzyskie aktorów, dziennikarzy, malarzy, debiutujących pisarzy".

Już jako ośmioletnia pyza stawałam pod ratuszem i zaciekawiona spoglądałam na drugą stronę ulicy. Mój wzrok przyciągała stylowa kamienica, gdzie na fasadzie ostatniej kondygnacji umieszczone zostało owalne okienko, otoczone sztukaterią z motywami roślinnymi. Wyobrażałam sobie, że za jego szklanymi szybkami mieszkała dziewczyna, której historia podobna były do tej z filmu „Panienka z okienka".

Właścicielami budynku, którego pierwsze zręby powstały w XVII wieku, byli grünberscy kupcy noszący nazwisko Ihm. W latach poprzedzających drugą wojnę światową działała tam z dużym powodzeniem jedna z niewielu w mieście czekoladziarni. Towarzystwo miała co prawda nie najlepsze, bowiem kilka numerów dalej świetnie funkcjonowała knajpa nazistowska, gdzie spotykali się wyznawcy spod znaku swastyki.

Kiedy w 1945 roku miasto przeszło w ręce władz polskich, w myśl niepisanej zasady niegdysiejsze restauracje, zakłady rzemieślnicze, fabryki, punkty usługowe pełniły tę samą funkcję, co przed wojną. Stąd w krótkim czasie po zasiedleniu w Zielonej Górze kwitło bujne życie kawiarniano-restauracyjne. Wspomniana wyżej czekoladziarnia przemianowana została na kawiarnię Polonia. W ogromnych oknach zawisły firanki, a na całej szerokości fasady umocowany został neon, który do dziś pozostał w pamięci starszych zielonogórzan.

Lokal miał dwie sale – na parterze i na piętrze. Wszystko spowijało dość przytłumione światło i kłęby dymu papierosowego. Na górze, gdzie wchodziło się po krętych i dlatego niewygodnych schodach, czekała na klientów duża sala z fortepianem, na którym dochodzący muzyk grywał standardy w rodzaju „Tango Milonga". Lokal odwiedzali amatorzy kawy, herbaty i czterowarstwowego szaleństwa, czyli pysznych lodów cassate. Pojawiały się też wina, a nawet szampany. W godzinach popołudniowych i wieczorami zmęczeni zielonogórzanie zapominali o swoich codziennych troskach przy rozmowach i śmiechach. W kawiarni panowała znakomita atmosfera i robiło się coraz gęściej.

Był czas, że spotykali się tam aktorzy, prozaicy, poeci, malarze, muzycy. Na przykład Tadeusz Jasiński szukał natchnienia do swoich opowiadań historycznych, które ukazały się w zbiorach „Dymy wyższe nad dęby" i „Mieczem i krzyżem", wydanych w oficynie Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Poeta Andrzej K. Waśkiewicz przychodził nie tylko na kawę, ale i na pogawędkę z powieściopisarzem Zygmuntem Trziszką. Po spotkaniach autorskich w bibliotekach i szkołach Janusz Koniusz przyprowadzał tam literackich gości. W Polonii wygładzał swoje teksty mieszkający w Gorzowie poeta Zdzisław Morawski, zatrudniony w redakcji zielonogórskiego „Nadodrza". Przy stoliku na piętrze Andabata, czyli Henryk Ankiewicz mógł pisać felietony z cyklu „Listy z Palmiarni", drukowane w ówczesnej „Gazecie Zielonogórskiej". Zanim Klem Felchnerowski przeniósł się do Ratuszowej. w Polonii tworzył ilustracje do tekstów publikowanych przez „Nadodrze". Krąży legenda, że w sali na piętrze finiszowali, po oficjalnych spotkaniach, młodzi adepci literatury. Zdarzało się, że deklamowali swoje wiersze, prowadzili bardzo poważne dyskusje i, w miarę spożywania większej ilości napojów wyskokowych, rozważania o życiu.

Po latach Polonię przemianowano na Staromiejską, a jeszcze później – już po transformacji ustrojowej – gdy standard kawiarni nie nadążał za nowym obliczem świata gastronomicznego, parter budynku został przeznaczony na księgarnię. Co ciekawe, można tam było napić się kawy lub soku po buszowaniu wśród książek. Kolejne zawirowania spowodowały podzielenie lokalu na dwie części. W jednej pozostała księgarnia sieci Matras (obecnie Świat Książki), do drugiej wróciła Staromiejska, tym razem pod postacią klubokawiarni. Jej wystrój i karta były odbiciem postpeerelowskich sentymentów. Lada, wysokie i mało wygodne stołki, proste szkło, niewyszukane potrawy – śledzik, galareta itp. Wyróżnikiem lokalu stały się niskie ceny. Pamiętam rozmowy młodych żaków, którzy umawiali się tam na wódkę. Za pięćdziesiątkę płaciło się jedynie trzy złote.

Dzisiejsza Staromiejska po trosze zagubiła i ten charakter. Przed budynkiem funkcjonuje ogródek piwny, podobny do wielu innych na deptaku. Lokal nie ma mocnego wyróżnika, który byłby magnesem przyciągającym gości. Po prostu jest jednym z wielu na zielonogórskim deptaku, ale dobrze, że istnieje i że udało mu się przetrzymać czas pandemii szczególnie trudny dla gastronomii.

W kamienicy, gdzie była Polonia, na parterze jest księgarnia i klubokawiarnia *fot. Alicja Błażyńska*

Bardziej hobby niż zawód

ROZMOWA BYŁYCH PREZESÓW ODDZIAŁU ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH W ZIELONEJ GÓRZE EUGENIUSZA KURZAWY I ALFREDA SIATECKIEGO ORAZ OBECNEGO, DR. ROBERTA RUDIAKA

Alfred Siatecki: – 13 października 1961 roku w Zielonej Górze powstał odział Związku Literatów Polskich, co obserwator wydarzeń kulturalnych w tamtym czasie, pisarz i publicysta, znawca literatury niemieckiej i łużyckiej, Wilhelm Szewczyk, określił jako początek środowiska literackiego na Ziemi Lubuskiej. Stało się to „w mieście pozbawionym zaplecza intelektualnego, zmuszonym do wytworzenia własnych form życia duchowego". Zielonogórski oddział powstał wcześniej niż oddziały w Rzeszowie, Białymstoku, Kielcach, Toruniu. Andrzej Waśkiewicz w książce „Lubuskie środowisko literackie" początek zorganizowanego życia literackiego przesunął na połowę lat pięćdziesiątych, kiedy najpierw ukazał się „Głos Młodych", firmowany przez Klub Literacki, i niedługo po nim jednodniówka „Ziemia Lubuska". Oba periodyki zawierały wiersze i opowiadania autorów tworzących w ówczesnym województwie zielonogórskim. Do pierwszego oddziału ZLP, tego założonego w 1961 roku, należały trzy osoby z Zielonej Góry, dwie z Gorzowa i jedna ze Wschowy. Obecnie oddział zielonogórski ma 29 członków. Istnieje troszkę mniejszy oddział gorzowski. Członkami oddziałów są również literaci tworzący na Dolnym Śląsku i Pomorzu Zachodnim.

Eugeniusz Kurzawa: – Z pewnością powstanie oddziału ZLP było decyzją polityczną. Władze chciały udowodnić, że Ziemie Odzyskane, jak wtedy nazywano województwa olsztyńskie, gdańskie, koszalińskie, szczecińskie, zielonogórskie, wrocławskie i opolskie, nie są pustynią kulturalną. Ale była to również decyzja o charakterze kulturotwórczym dla takich miast jak Zielona Góra. Istnienie oddziału ZLP było dla miasta, regionu tak samo ważne, jak powołanie teatru czy filharmonii, co dziś niektórym może się wydawać śmieszne. Ale oddział należał do tzw. wyposażenia cywilizacyjnego Zielonej Góry. I w efekcie odegrał w niej ważną rolę. U nas odbywały się np. zjazdy pisarzy ziem zachodnich i północnych, co było wówczas wielkim wydarzeniem.

Do pierwszego oddziału ZLP, tego założonego w 1961 roku, należały trzy osoby z Zielonej Góry, dwie z Gorzowa i jedna ze Wschowy. Obecnie oddział zielonogórski ma 29 członków.

Robert Rudiak: – Pierwszy taki zjazd odbył się w Dusznikach w 1958 roku. Zielona Góra była gospodarzem zjazdów w 1963 i 1970. Ten drugi odbywał się pod hasłem dwudziestej piątej rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem i powrotu ziem zachodnich do Macierzy. Jak podkreślano, zgromadził prawie dwustu pisarzy z całej Polski. Spotkanie w Zielonej Górze w 1970 roku było ostatnim zjazdem pisarzy o takim charakterze. W grudniu tego samego roku Polska i Republika Federalna Niemiec zawarły układ w sprawie uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

A.S.: – Istniał komitet porozumiewawczy złożony z prezesów oddziałów. Czyżby on organizował te zjazdy? Czy sześć osób należących do zielonogórskiego oddziału było w stanie zorganizować zjazd w 1963 roku? Za czyje pieniądze? Mimo że siedem lat później oddział liczył dwanaścioro członków, nie wierzę, żeby byli w stanie zorganizować tak wielkie spotkanie.

E.K.: – Ówczesnym władzom zależało, żeby zjazdy zostały przygotowane na najwyższym poziomie, a tego nie gwarantowali sami literaci. Do pomocy mogły zostać zobligowane instytucje wojewódzkie takie jak biblioteka, dom kultury, administracja. Pieniądze mogły być rządowe.

R.R.: – W 1957 roku powstało Lubuskie Towarzystwo Kultury. Przypuszczam, że ono wniosło ogromny wkład w organizację tego zjazdu, tym bardziej że prezesem LTK i członkiem ZLP był dr Wiesław Sauter, także radny Wojewódzkiej Rady Narodowej. Pomagała redakcja zasłużonego dla regionu dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Nadodrze". Kwestie organizacyjne takie jak zakwaterowanie, wyżywienie, przygotowanie sali obrad, protokołowanie, spotkania z czytelnikami, wzięły na siebie instytucje kulturalne.

A.S.: – Powstałe na fali przemian po odwilży październikowej 1956 roku LTK było wzorem do naśladowania w całym kraju. Podobne stowarzyszenia, skupiające nauczycieli, bibliotekarzy, prawników, regionalistów, powstawały w miastach powiatowych. To wtedy zaczyna kiełkować hasło „Lubuska droga do uniwersytetu", czego pierwszym owocem była Wyższa Szkoła Inżynierska.

E.K.: – Niedawno profesor Hieronim Szczegóła podarował mi stare egzemplarze „Nadodrza". Dominowały w nich artykuły o tematyce lubuskiej, ale i znalazłem reportaże z Kielecczyzny, Warmii i Mazur, Pomorza Środkowego, w których zielonogórscy autorzy przedstawiali przemiany w tamtych regionach. W pierwszych numerach „Rocznika Lubuskiego", ukazywało się dużo tekstów literackich, recenzji i omówień. Pisały je nie tylko osoby tu mieszkające, lecz i, na przykład, wspomniany Wilhelm Szewczyk z Katowic, profesorowie z Poznania: Michał Sczaniecki, Zdzisław Kaczmarczyk i Zygmunt Dulczewski, Włodzimierz Maciąg i Jerzy Madeyski z Krakowa, Bohdan Drozdowski i Andrzej Lam z Warszawy. Eugeniusz Paukszta z Poznania był niemal stałym autorem zielonogórskich czasopism.

R.R.: – Pierwsze numery „Rocznika Lubuskiego", w którym dominowała

tematyka kulturalna, historyczna i społeczna, wydawało LTK. Czasopismo nadal się ukazuje, tyle że jako periodyk wydawany przez Lubuskie Towarzystwo Naukowe i, co zrozumiałe, zamieszczający prace o charakterze naukowym. Chyba się nie pomylę, jeśli zaliczę „Rocznik Lubuski" do czasopism najdłużej ukazujących się w naszym regionie.

E.K.: – Przeglądając pierwsze numery „Nadodrza" – adresowanego w znacznej mierze do nauczycieli – zauważyłem, że głos na łamach zaczęli zabierać młodzi ludzie, tacy dopiero po studiach, którzy z nakazami pracy osiedlili się w ówczesnym województwie zielonogórskim. Przykładem właśnie Hieronim Szczegóła. Tamta młoda inteligencja nie miała doświadczeń kombatanckich, mogła więc inaczej odnosić się do problemów regionu i spraw swojego pokolenia. Pewnie sprzyjała temu odwilż popaździernikowa, wprawdzie była krótka, jednak zaznaczyła się w Polsce.

R.R.: – Trzeba wspomnieć o sekcji literackiej LTK, w 1960 roku przekształconej w Klub Literacki. Należało do niego ponad dwadzieścia osób. Część z nich, na przykład Andrzej Waśkiewicz, Zygmunt Trziszka, Tadeusz Jasiński, to osoby, które potem zostały przyjęte do ZLP. W Gorzowie powstał Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, w Żarach zawiązała się Grupa Młodych Twórców, potem znana jako poeci grupy Dziewin.

A.S.: – LTK sprawowało opiekę nad młodymi autorami a to prowadząc coś w rodzaju wszechnicy literackiej pod kierunkiem Henryka Berezy, a to opłacając przyjazdy krytyków, a to wydając książki. W 1958 roku ukazał się pierwszy tomik z prozą poetycką „Miniatury", rok później wyszedł zbiorek wierszy „Kartki wyobraźni". Na początku lat sześćdziesiątych stowarzyszenie wydało jedenaście tomików w serii Lubuskie arkusze poetyckie. Seria była kontynuowana w 1970, 1977 i 1985. Właściwie to działalność edytorska LTK zaczęła się w 1957 roku od zbioru baśni „O krasnoludkach, Jagusi i siedmiu zaklętych rycerzach" Kazimierza Malickiego i Zygmunta Rutkowskiego. Dwa lata po nim ukazała się „Złota dzida Bolesława" Izabelli Koniusz z przedmową Eugeniusza Paukszty i ilustracjami Alojzy Zacharskiej. Następne wydanie tego zbioru w 1970 roku przygotowało Wydawnictwo Poznańskie, a ozdobił je ilustracjami mistrz rysunku Jan Marcin Szancer.

Legendy i baśnie były strzałem w dziesiątkę. Przedstawiały raczej nieznane dzieje regionu i jednocześnie zachęcały,szczególnie młodzież, do sięgania po książki miejscowych autorów. Od nich właściwie zaczęła się lubuska literatura.

E.K.: – W 1968 roku wyszły „Legendy znad Odry". Oprócz utworów już wspomnianych autorów znalazły się w nich teksty Tadeusza Jasińskiego, Heleny Rutkowskiej, Ireny Solińskiej, Bronisława Suzanowicza i Andrzeja Waśkiewicza. Legendy i baśnie były strzałem w dziesiątkę. Przedstawiały raczej nieznane dzieje regionu i jednocześnie zachęcały, szczególnie młodzież, do sięgania po książki miejscowych autorów. Od nich właściwie zaczęła się lubuska literatura.

R.R.: – Jednak większość autorów legend, mimo poczynionych starań o przyjęcie do ZLP, nie dostało legitymacji członkowskiej, co świadczyło o nie za wysokim kunszcie literackim ich twórczości. Analizę tych tekstów przedstawiłem w szkicu monograficznym „Baśnie, legendy i podania Ziemi Lubuskiej", wydanych w 2019 roku przez Polskie Towarzystwo Historyczne.

A.S.: – Czy już wtedy istniało środowisko literackie? To pytanie dotyczy i czasów współczesnych.

E.K.: – Zależy jak rozumieć pojęcie „środowisko literackie". Jedni mogą uznać sam ZLP z młodzieżowymi przybudówkami za środowisko. Za środowisko można też uznać wszystkich piszących oraz czytelników, a także obsługujące ich instytucje, jak np. biblioteki, wydziały kultury. Oczywiście istniało ongiś środowisko literackie i istnieje do dziś.

R.R.: – Według profesora Stefana Żółkiewskiego środowisko to ogół instytucji, mecenatu, krytyki. To wszystko było już w chwili powołania oddziału, co przypomnieliśmy i, nie mam wątpliwości, jest, funkcjonuje. Na pewno

Eugeniusz Kurzawa
poeta, publicysta, prezes w latach 1996-2019
prezes honorowy od 2019 r.

Robert Rudiak
poeta, krytyk literacki, historyk literatury
prezes od 2019 r.

Alfred Siatecki
prozaik, publicysta,
prezes w latach 1991-1996

w Zielonej Górze jest środowisko literackie.

A..S: – Które wydarzenie z historii zielonogórskiego środowiska literackiego uważacie za znaczące?

E.K.: – Zawiązanie się oddziału ZLP stawiam na pierwszym miejscu, ale pewnie nie byłoby oddziału, gdyby nie wydarzył się Październik 1956 roku i nie powstało Lubuskie Towarzystwo Kultury.

R.R.: – W każdej dekadzie istnienia oddziału coś istotnego się wydarzyło. Zaliczam do nich wspomniane zjazdy pisarzy ziem zachodnich i północnych, wydawnictwa, Czwartki Literackie. Mimo krytyki uważam sympozja literackie przy okazji festiwali piosenki radzieckiej za naprawdę ważne. Po roku 1989 odbywały się międzynarodowe festiwale literackie. Teraz jest Festiwal Proza Poetów organizowany przez bibliotekę Norwida. Jako związek pomogliśmy autorom filmów o Michale Kaziowie, Mieczysławie Warszawskim i Andrzeju Waśkiewiczu. W planie mamy film o Januszu Koniuszu.

E.K.: – Do ważnych wydarzeń, które być może pomogły przetrwać oddziałowi po 1989 roku, zaliczam Lubuski Wawrzyn Literacki, wydawnictwo Pro Libris i czasopismo „Pro Libris". Ponadto cementującą rolę odegrały jubileusze 40 – i 50-lecia oddziału ZLP, różne publikacje, imprezy. Jak mówił Andrzej Waśkiewicz, juror Wawrzynu, nagroda ta będzie nabierała znaczenia z biegiem lat, czego potwierdzeniem jest na przykład to, że wydawca powieści Zofii Mąkosy umieszcza na okładkach jej książek informację, że jest dwukrotną laureatką tej nagrody. Jako oddział przekonaliśmy władze uniwersyteckiej polonistyki do współpracy, czego efektem stała się pracownia badań nad literaturą regionalną. Nie potrafię powiedzieć, ile powstało prac magisterskich dotyczących twórczości literackiej Lubuszan. Wiem, że problematyka ta również przedostała się do rozpraw doktorskich na Uniwersytecie Zielonogórskim.

A.S.: – O tym, kto zostanie członkiem ZLP, decyduje komisja kwalifikacyjna. W statucie jest mowa, że do związku może być przyjęty autor utworów literackich uznanych za wartościowe. I kolejny warunek: opublikowanie co najmniej dwóch książek prozatorskich albo trzech książek poetyckich. Są też określone w statucie wymagania dotyczące dramaturgów, autorów słuchowisk, eseistów, krytyków. W 1985 roku Iskry wydały mój drugi zbiór opowiadań. Dopiero wtedy mogłem napisać podanie o przyjęcie do ZLP. Rozpatrująca je komisja kwalifikacyjna stwierdziła, że moje książki są wartościowe z literackiego punktu widzenia i zarząd główny związku wpisał mnie na listę członkowską. Wtedy uważałem, że przynależność do ZLP to z jednej strony potwierdzenie wartości tego, co napisałem, i z drugiej obecność w gronie uznanych twórców. Przez wiele lat legitymację z podpisem prezesa ZLP traktowałem prestiżowo. Obecnie mam do tego bardziej krytyczny stosunek. Bywa, że zastanawiam się, czy ZLP jeszcze jest mi potrzebny.

Książka pozostając wytworem umysłu, stała się produktem takim samym jak kapusta, telewizor, buty.

R.R.: – Są oddziały związku w kraju, o których można powiedzieć, że istnieją formalnie. My w Zielonej Górze może robimy nie za dużo, ale coś robimy i za to, co robimy, nie bierzemy pieniędzy. Jesteśmy grupą osób o podobnych zainteresowaniach, starających się promować powstające tu książki i wspierać tutejszych autorów. Wydajemy czasopismo „Pasje Literackie". W miarę możliwości reprezentujemy społeczność pisarską wobec władz regionalnych i samorządowych, mamy kontakty z innymi stowarzyszeniami. Nieźle układa się współpraca z Towarzystwem Miłośników Zielonej Góry, z biblioteką Norwida, z biblioteką uniwersytecką. Nasi członkowie opiniują podania o stypendia literackie. Zarząd oddziału występuje z wnioskami w sprawie przyznania nagród i odznaczeń. Mimo że na przykład główny ciężar związany z organizacją Wawrzynu wzięła na siebie biblioteka Norwida, to konkurs dzieje się przy naszym udziale. Przyznajemy związkowe nagrody imienia Andrzeja Waśkiewicza i Janusza Koniusza. A o tym, że ZLP jest potrzebny, świadczą podania z prośbą o przyjęcie do naszego stowarzyszenia twórczego. Jesienią komisja kwalifikacyjna będzie rozpatrywała podania czworga autorów, którzy otrzymali pozytywne opinie zarządu naszego oddziału.

A.S.: – Czasy są takie, że wydawnictwa wydają przede wszystkim to, co się dobrze sprzedaje. Książka, pozostając wytworem umysłu, stała się produktem takim samym jak kapusta, telewizor, buty. Dominują książki dla kobiet, powieści historyczne i sensacyjne. Poezje, jeśli się ukazują, to w mikroskopijnych ilościach. Podstawowym źródłem informacji o nowościach stały się witryny internetowe. W sieci pojawiają się opinie o książkach, ale niemal zanikły recenzje i analizy, a te, które drukują niszowe czasopisma, docierają do wąskiej grupy czytelników. Niewiele informacji na temat książek i ich autorów drukują dzienniki. Nie biorę pod uwagę tekstów sponsorowanych przez wydawnictwa. Ubywa księgarń i czytelników. Będą jeszcze trudniejsze czasy?

R.R.: – Od wielu lat dominuje literatura zwana popularną. Może kiedyś było lepiej, jeśli idzie o nakłady książek poetyckich. Mam na myśli nie tylko utwory Mickiewicza czy Norwida, ale i mniej znanych poetów. Debiutant mógł liczyć na tomik w nakładzie tysiąca egzemplarzy. Pojawiło się nowe: poeci drukują książki za własne pieniądze i sami je rozpowszechniają, co na ogół nawet nie pokrywa kosztów wydawniczych.

E.K.: – Żałuję, że skurczyła się idea związana z lekcjami regionalnymi, podczas których uczniowie mieli poznawać kulturę i literaturę regionu, w tym oczywiście naszych pisarzy. Ja w ten sposób po raz pierwszy dowiedziałem się o poecie Januszu Koniuszu. Dziś nikt nas nie zaprasza do szkół, a i do bibliotek coraz rzadziej.

A.S: – Przez wszystkie lata ludowej Polski pisarstwo w Zielonej Górze było dodatkiem do zawodu dziennikarza, nauczyciela, prawnika, bibliotekarza. Po sześćdziesięciu latach, jakie upłynęły od powstania oddziału ZLP, dużo się zmieniło, ale nie w tej sprawie. Nadal pisarstwo jest bardziej hobby niż zawodem.

Izabela Korniluk

Było takie wydawnictwo

Lubuskie Towarzystwo Kultury od początku swojej działalności, czyli od 1957 roku wiele uwagi zwracało na popularyzowanie wiedzy oraz upowszechnianie jej w formie czasopism, książek, opracowań czy przewodników turystycznych.

Wówczas nie było to łatwe zadanie, albowiem reglamentacja papieru, uzyskiwane pozwoleń i akceptacji władz na wydawanie poszczególnych dzieł pochłaniało wiele czasu i energii. Towarzystwu za aprobatą czynników nadrzędnych z sukcesem udawało się wydawać kolejne książki, tak bardzo potrzebne na ówczesnym rynku wydawniczym młodego województwa zielonogórskiego. Do najważniejszych tytułów wychodzących spod skrzydeł LTK należały: „Nadodrze", „Rocznik Lubuski", „Zeszyty Lubuskie" oraz „Kalendarze Lubuskie" i „Kalendarze Zielonogórskie".

Dwutygodnik społeczno-kulturalny „Nadodrze" był najdłużej wydawanym przez LTK periodykiem. Pierwszy numer ukazał się w październiku 1957 r. jako jednodniówka, wydawnictwo specjalne i sygnalne. Podobnie było w następnym roku, kiedy czasopismo ukazywało się okazjonalnie. Dopiero od 1959 do kwietnia 1965 „Nadodrze" wychodziło regularnie jako miesięcznik, a od maja 1965 r. jako dwutygodnik wydawany przez RSW „Prasa-Książka-Ruch". Pod koniec istnienia było tygodnikiem. Czasopismo przestało się ukazywać w 1990 r. Tematyka podejmowana w gazecie dotyczyła spraw historycznych, socjologicznych, kulturalnych oraz aktualnych problemów region i kraju. Tu debiutowali zielonogórscy pisarze i publicyści. Ważnym elementem pisma były reportaże. Nad szatą graficzną czuwali najlepsi zielonogórscy artyści.

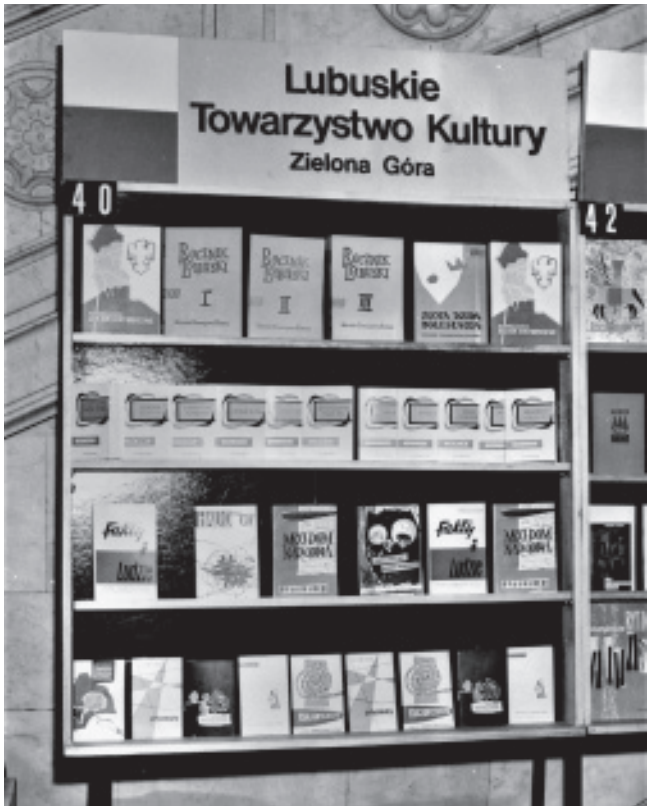

Stoisko z wydawnictwami LTK na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie w 1966 r. Zdjęcie ze zbiorów Muzeum Ziemi Lubuskiej

Jednym z najwcześniej wydawanych czasopism zbiorowych, które w swojej treści zawierały artykuły poświęcone przeszłości regionu, był „Rocznik Lubuski". Nie miał być on wydawnictwem naukowym, lecz w sposób jak najbardziej przystępny prezentować zagadnienia związane z przeszłością, teraźniejszością i przyszłością Ziemi Lubuskiej. Już od pierwszego tomu ukształtował się charakter i formuła publikacji. Zawierała ona w swojej treści artykuły i rozprawy naukowe, prace dotyczące badań osób zaproszonych do publikowania poszczególnych tomach. Częścią każdego numeru były pamiętniki i wspomnienia – relacje autochtonów o życiu na tych ziemiach. Ponadto publikowano źródła i materiały, recenzje, kronikę wydarzeń kulturalnych i bibliografię. „Rocznik Lubuski" ukazuje się nadal jako periodyk zawierający publikacje z socjologii, pedagogiki i politologii oraz humanistyki zorientowanej głównie na historię.

Gdy w 1966 r. „Rocznik" przejęło Lubuskie Towarzystwo Naukowe, LTK zaczęło wydać „Zeszyty Lubuskie". W zamyśle twórców miały być one poświęcone poszczególnym powiatom, podregionom, zakładom pracy lub wybranym grupom zagadnień. wychodziły periodycznie w jednakowym formacie. W ramach „Zeszytów" ukazały się 22 książki. Ich tematyka skupiała się w większości na monografiach miast i gmin. Omawiano w nich położenie geograficzne miejscowości, historię, ważniejsze zabytki, problemy związane z osadnictwem, kształtowanie się władzy po drugiej wojnie światowej, kwestie kulturalno-społeczne. Prezentowano także wizerunki ciekawych mieszkańców, bibliografie, kroniki miejskie, wspomnienia. Redaktorzy „Zeszytów" podkreślali we wstępach, że ich celem jest zainteresowanie mieszkańców najbliższym regionem.

Na początku lat 70. podjęto prace nad „Kalendarzem Lubuskim". Według zamierzeń twórców miała to być niezbyt kosztowna pozycja wydawnicza dla każdego Lubuszanina. Oprócz kalendarium każdy numer miał prezentować historię, przemysł, rolnictwo, oświatę i sport oraz sylwetki osób zasłużonych dla regionu. Formułą „Kalendarz" nawiązywał do „Grünberger Hauskalender" i jego regionalnych odmian. Ukazały się cztery roczniki „Kalendarza Lubuskiego" na lata 1972, 1973, 1974 i 1975. Kolejny „Kalendarz Zielonogórski" ukazał się w 1980 r. Zdecydowano się na ten krok, ponieważ takie miasta jak Żary, Żagań i Nowa Sól wydawały swoje kalendarze lub almanachy. W pierwszej części wydawnictwa zawarto kalendarz na cały rok z opisem chronologicznym wydarzeń, pojawiły się ciekawostki, rysunki, zdjęcia. Druga część zawierała krótkie artykuły dotyczące spraw społecznych, kulturalnych i przeszłości. Przyjęto taką samą jak przy „Kalendarzach Lubuskich", już sprawdzoną formę finansowania wydawnictwa. Reklamodawcy zapłacili za swoje ogłoszenia umieszczane w periodyku. Wyszły trzy roczniki „Kalendarza Zielonogórskiego" na lata 1980, 1984 i 1985.

W wydawnictwie LTK ukazały się ponadto tomiki poetyckie, zbiory opowiadań, opowieści historyczne, baśnie i legendy autorów lubuskich. Łącznie blisko sto tytułów.

Monika Simonjetz

Periodyk nie tylko dla bibliotekarzy

„Bibliotekarz Lubuski" jest pismem branżowym, wydawanym przez Pro Libris – wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze oraz zarząd okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich.

Biblioteka zainicjowała wydawanie własnego periodyku w 1958 roku. Pismo początkowo ukazywało się jako miesięcznik „Biuletyn Informacyjno-Bibliograficzny Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze". W 1959 r. zmieniono tytuł na „Kultura Lubuska". Pierwszy numer ukazał się jako jednodniówka. Do numeru z marca/kwietnia 1959 r. dodano podtytuł „Biuletyn Informacyjny". Od 1960 r. „Kultura Lubuska" ukazywała się jako kwartalnik. Od 1961 r. periodyk był wydawany jako „Bibliotekarz Lubuski. Biuletyn Informacyjny", pod redakcją Grzegorza Chmielewskiego. Pismo publikowano do 1971 r. W 1980 r. podjęto próbę kontynuacji, jednak zdołano wydać tylko jeden numer. W latach 1993-1995 ukazywał się „Biuletyn Informacyjny Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich Zarządu Okręgu w Zielonej Górze". W 1996 r. wznowiono wydawanie „Bibliotekarza Lubuskiego". Do 2010 r. przewodniczącą komitetu redakcyjnego była Maria Wasik, która zastąpiła G. Chmielewskiego na stanowisku dyrektora biblioteki. Sekretarzami i członkami redakcji byli m.in. Scholastyka Dokowicz, Danuta Waldowska, Zdzisława Stokłosa, Maria Adamek, Janina Małachowska, Stanisława Bogalska, Janina Wilczek, Joanna Wawryk. Rok 1996 przyniósł stanowisko redaktora technicznego w osobie Bogusława Adamczewskiego, który sprawował tę funkcję przez dwa lata pracując nad wydaniem czterech numerów pisma.

„Bibliotekarz Lubuski" wychodzi jako półrocznik w nakładzie przeważnie 200 egzemplarzy. Dedykowany jest pracownikom sieci bibliotek różnego typu, choć początkowo dominowały w nim treści redagowane głównie przez pracowników biblioteki wojewódzkiej, poświęcone problemom bibliotek publicznych, mające służyć jako pomoc instrukcyjno-metodyczna. Publikowano tu artykuły poświęcone pracy bibliotek: analizy, oceny, zestawienia bibliograficzne, scenariusze imprez, porady, relacje. Ukazywały się także teksty poświęcone historii (głównie regionu), kulturze, literaturze.

Od 2010 r. redakcję tworzą: Andrzej Buck, J. Wawryk i M. Simonjetz. Numer 2(30)/2010 przygotowany przez nowy zespół ukazał się w odświeżonej, profesjonalnie opracowanej szacie graficznej. Pismo zyskało rubryki tematyczne: Felietony/eseje; Nowe media; Wokół czytelnictwa dziecięcego; Wokół Zasobów/Warsztat Bibliotekarza, Biblioteczne Przestrzenie, Wydarzenia/relacje/opinie; Rozmowy; Z archiwalnej półki; Warto przeczytać, Komunikaty. Obok tekstów problemowych, poświęconych zmianom w bibliotekarstwie, a także dotyczących rynku księgarskiego i wykorzystania nowych mediów, na łamach czasopisma zamieszczane są szkice i artykuły o literaturze, bibliotekach i książkach oraz recenzje publikacji ważnych z punktu widzenia bibliotekarza. Ukazują się relacje z konferencji, sympozjów, uroczystości, wyjazdów seminaryjnych, wystaw. Publikowane są omówienia przykładów działalności i dobrych praktyk, nie tylko w lubuskich książnicach.

Zmiany spotkały się z bardzo dobrym przyjęciem i poszerzyły krąg odbiorców czasopisma, a także autorów w nim publikujących. Na łamach „Bibliotekarza Lubuskiego" goszczą bibliotekoznawcy, kulturoznawcy, bibliotekarze praktycy, studenci, pracownicy naukowi – z regionu, kraju i z zagranicy. Od 2010 r. ukazały się 24 numery, w których opublikowano 474 teksty, z czego niemal połowa napłynęła od autorów spoza zielonogórskiej książnicy.

Od 10 lat półrocznikowi towarzyszy strona internetowa, która stała się platformą wymiany doświadczeń i propagowania inicjatyw bibliotecznych. W 2016 r. na stronie www.bibliotekarzlubuski.pl opublikowano ponad 180 relacji i komunikatów, w 2017 było ich ponad 200, w 2021 – 702. Dane na 23 czerwca 2021 r., obejmujące lata 2011-2021, wskazują na 2515 artykułów, które odnotowały 2 095 116 odsłon. Szóste urodziny „Bibliotekarza Lubuskiego" w aktualnym składzie redakcyjnym zbiegły się z narodzinami profilu czasopisma na Facebooku www.facebook.com/bibliotekarzlubuski. Według statystyki strony na profilu społecznościowym liczba osób, które zobaczyły którekolwiek materiały ze strony lub na jej temat oscyluje wokół 4600, w tym 4391 odbiorców z Polski (567 z Zielonej Góry), 92 z Niemiec, 46 z Wielkiej Brytanii, po 13 z Irlandii i Holandii, a także z Norwegii, Francji, Ukrainy, Szwecji, Stanów Zjednoczonych, Hiszpanii, Austrii, Belgii, Słowacji, Kanady.

Jarosław Barańczak

Moje miasto

Dla Józefa Burlewicza

Latałem kiedyś nad tym miastem
z zielonym wzgórzem i wąskimi uliczkami.
Pijany Bachus prowadzał mnie pod rękę,
z Mozartem i wróblami w zawody,
przez liście kasztanów, zaglądaliśmy do nieba,
które olśniewało granatem obrazów
Burlewicza. W nich zamknięty był ptak
bez prawa do odlotu. Czekaliśmy,
ścigając się z synami na rowerach.
Któregoś dnia wylegliśmy na obudzone place,
nad katedrą fruwały anioły i dziś nie wiem,
dlaczego tak wiele z nich połamało skrzydła.
I był teatr radosny i smutny niekiedy,
jak czas, gdy pod stopami hufców giną
fortece przeszłości, a kolibry nie nadążają
z lotem nad polami kwiatów. Wędrowałem
później szerokimi ulicami świata, jak ptak
który odchodzi i wraca, przysiada
na zielonym wzgórzu i pije sok
z niedojrzałych jeszcze winogron.

Leśny staw

Pamiętam, kiedy spotkałem ją
pierwszy raz. Po niebie ciągnęły
pękate letnie chmury, wlewało się
w nas gorąco. Zaraz za sosnowym
lasem zbiegliśmy z górki. Tam, gdzie
marszczył się brzeg małego stawu.
Wciągała nas tajemnica, przykryta
ciemną tkaniną wody. Wchodziliśmy w nią
z lękiem, lizani językami chłodu.
Właśnie wtedy jego ręce zatrzepotały
jak skrzydła uwiązanego ptaka.

Na brzegu staliśmy bezradną gromadą
mokrych wróbli. Cień lasu klęczał
pod zmierzwionymi chmurami, czuliśmy,
że ona jest wśród nas. Zerwaliśmy się
do ucieczki, chcąc ukryć się za pniami
salutujących drzew. Wrzeszczeliśmy.

Wiele jeszcze trzeba było czasu,
zanim pojęliśmy, że śmierć przychodzi
także wtedy, gdy błękitne ważki
muskają skrzydłami przejrzyste lustro wody.

Wiersz pochodzi z tomiku „Znak”,
Pro Libris, Zielona Góra 2021

* * *

zmęczone klejeniem
algorytmów na życie
leżą na stole ręce

dogasa żar papierosa
algorytmy zalewa
pomarszczona troska

wtedy obłok wysuwa się
zza dachu i jak kot
ociera się o stopy

na schodach stukot
kół jadącego pociągu
przeciąg zatrzaskuje drzwi

w lodówce marzną
nieświadome rozkładów jazdy
algorytmy

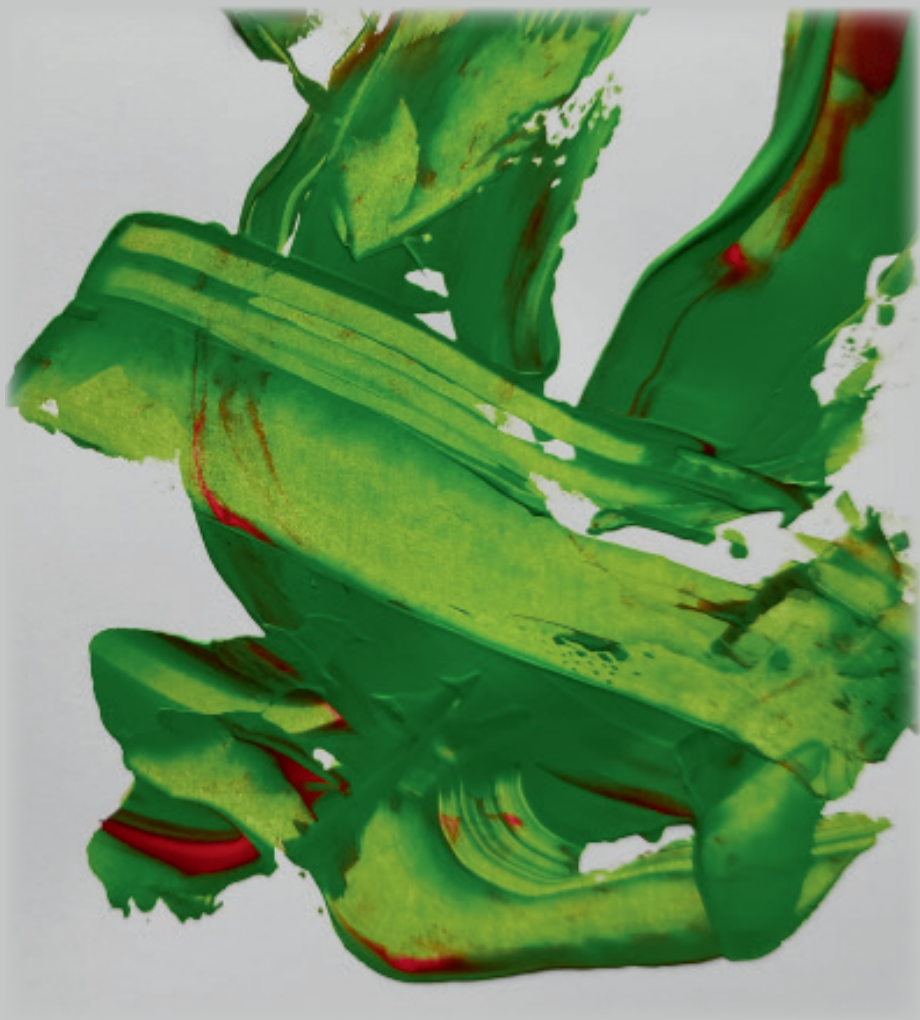

rys. Izabela Sak

Aldona Reich

Zanim rozpęta się piekło

12 kwietnia, wtorek

Wieczór był chłodny, ale niemal bezwietrzny. Dzięki temu tafla wody zdawała się być jedną, gładką i błyszczącą płaszczyzną, coraz intensywniej odbijającą blask księżyca. O tej porze już po obu stronach Warty panowała cisza, przerywana raz po raz sygnałami wysyłanymi przez mieszkańców szuwar.

W zaparkowanym nieopodal brzegu samochodzie, z przodu, na miejscu kierowcy siedział mężczyzna. Kręcąc się nerwowo, próbował przebić się wzrokiem przez gęsty mrok, aby dojrzeć sylwetkę, która jeszcze kilka minut temu oddalała się w stronę rzeki. Po dłuższej chwili, już mocno zniecierpliwiony, opuścił szybę i niemal wysunął głowę na zewnątrz. Z napięciem słuchał dźwięków, które w nocnym powietrzu rozchodziły się w dziwnych kierunkach, wzajemnie się przenikając i odbijając najbardziej nieoczekiwanym echem. Już chciał wysiąść z samochodu, gdy drzwi po stronie pasażera otworzyły się niespodziewanie.

– A ty dokąd? – padło kpiące pytanie. – Chciałeś mi pomóc? Czy może raczej stąd spieprzać i mnie zostawić?

– Nie... nie... – wystraszony kierowca gwałtownie pokręcił przecząco głową. – Ja tylko... – zamilkł, nerwowo przygryzając wargę. – Wszystko okay?

– Wrzucenie odpadków do rzeki nie jest jakimś specjalnym wyczynem, nie sądzisz? – prychnął pasażer. – Dobra, teraz mnie odwieź i możesz wracać do domu, między nami kwita.

– Boże, co myśmy najlepszego zrobili... Co myśmy zrobili... – półgłosem powiedział do siebie kierowca. – To jakiś obłęd – jęknął z niedowierzaniem i odpalił silnik. Kręciło mu się w głowie, a niebezpiecznie silne uderzenia pulsu nie chciały w żaden sposób zelżeć. Przymknął powieki i chwilę oddychał głęboko.

– Przestań się nad sobą rozczulać – usłyszał w odpowiedzi. – Zapewniam, że reklamacji nie będzie – pasażer roześmiał się z wysiłkiem. – Zawsze mówiłem, że jesteś najlepszy, masz ręce artysty. Poradziłeś sobie koncertowo – pochwalił z udawanym podziwem. – Nawet krwi nie było dużo. Myślałem, że zwykle w takich sytuacjach człowiek krwawi jak świnia... No! Ruszaj wreszcie!

– Ale... – kierowca zawahał się przez moment. – Jaką mam gwarancję, że...? No, wiesz...

– Nie masz żadnej. – Pasażer wzruszył ramionami i sięgnął po torbę, leżącą na tylnym siedzeniu samochodu i położył ją sobie na kolanach. – Nigdy nie ma gwarancji. Mogę tylko obiecać, że z mojej strony nic ci nie grozi. – Bezceremonialnie rozpiął suwak torby, zajrzał do środka i wyjął kilka opakowań opioidów w ampułkach. – O, bardzo ładnie! Elegancko! Dobry towar zawsze w cenie – mrugnął jowialnie do sparaliżowanego ze strachu kierowcy. – Boże, człowieku, no nie bądźże takim ćwokiem! – roześmiał się. – Swoje zrobiłeś, sprawa zamknięta. Teraz możesz zapomnieć o długach i zabrać żonę na Baleary czy gdzie tam chcesz. Zaczynasz nowe życie!

– Ty jesteś chory... – wyszeptał kierowca i powoli wykręcił w stronę drogi, którą tu dojechali. – Człowieku, w coś ty mnie wplątał...

– Skończysz to jojczenie czy mam cię wypierdolić z samochodu?! Weź się, do ciężkiej cholery, w garść!

– A... pieniądze?

– Zgodnie z umową, dostaniesz te swoje pięćdziesiąt kawałków. Ja słowa dotrzymuję.

– I co teraz zrobisz? – Kierowca odwrócił wzrok na drogę i skupił się na omijaniu wszelkich nierówności. Po chwili wyjechali na odcinek pokryty asfaltem i można było nieco przyspieszyć.

– Nie twój zasrany interes. Im mniej wiesz, tym dłużej pożyjesz – roześmiał się pasażer.

Kierowca chwilę milczał, ale wyraźnie wciąż coś nie dawało mu spokoju. Odwrócił wzrok od drogi i spojrzał na pasażera. Zawahał się, ale wreszcie wyrzucił z siebie pytanie:

– A jak ktoś się na lotnisku zorientuje, że brakowało jednego pasażera?

– Serio pytasz? – Pasażer pokręcił głową z politowaniem. – Miałem cię za rozgarniętego gościa, ale najwyraźniej coś przeszacowałem. To chyba nie będzie pierwszy raz, gdy jakiś gamoń spóźnił się na lot? To nie taksówka, tam nikt na nikogo nie będzie czekał. Mamy kilka dni spokoju, zanim rozpęta się piekło. – Spojrzał badawczo na kierowcę. – I pamiętaj, obaj jedziemy na tym samym wózku, więc niech nie przyjdzie ci do głowy jakiś autorski pomysł – zastrzegł. – Wiesz, jakiś anonim, telefon albo inna głupota. Ja mam do stracenia dużo, ale tobie także nie opłaca się nadmierna szczerość. I pamiętaj: przesyłka ma wyjść nie wcześniej niż za tydzień. Zrozumiałeś mnie? - Kierowca pod wpływem jego wzroku potulnie kiwnął głową. - Grzeczny chłopiec!

16 kwietnia, sobota

Włodzimierz Dera, siedemdziesięcioletni mieszkaniec Poznania i fanatyk wędkarstwa, jak co tydzień o tej samej godzinie, niezależnie od pory roku i pogody, przyjechał swoim wysłużonym, ale nadzwyczaj zadbanym lanosem na ulubione stanowisko w jednym z zakoli Warty.

Samochód z całą pieczołowitością parkował zwykle mniej więcej sto metrów od brzegu, tam, gdzie grunt był pewny, a wysokie zarośla oddzielały go od innych wędkarzy, zapewniając spokój i wrażenie, że jest zupełnie sam. Potem wypakowywał wszystko z bagażnika, nie zapominając o pudełku z prowiantem, które pani Derowa tradycyjnie, od ponad czterdziestu lat ich zgodnego pożycia, wypełniała identycznym zestawem w postaci trzech podwójnych kanapek z salcesonem i musztardą, ogórka oraz pomidora. Posiłek regeneracyjny, spożywany zwykle około godziny dwunastej, uzupełniał półlitrowy termos z kawą, z uwagi na stan serca Dery już od blisko dziesięciu lat – zbożową, czarną i gorzką.

Tego dnia pan Włodzimierz dotarł do swojego miejsca około szóstej dwadzieścia pięć, rozstawił sprzęt, a potem wprawnym machnięciem zarzucił żyłkę i czujnie skontrolował ruch spławika. Następnie starannie umocował na specjalnej podpórce wędkę z włókna węglowego (prezent od syna i synowej na ostatnią Gwiazdkę), zabezpieczył swój prowiant

i, z niemałym zadowoleniem na myśl o czekającym go relaksie, usiadł na składanym krzesełku i westchnął głęboko. Tak, zapowiadał się wspaniały dzień, a on, Włodzimierz Dera, był tej wspaniałości częścią.

Nie minął kwadrans, gdy nagły podmuch wiatru zmarszczył taflę wody i zniósł spławik w stronę zarośli. Dera poczuł, że próba ściągnięcia go do poprzedniego położenia będzie wymagała więcej wysiłku niż zakładał, bo utknął tam na dobre. Z wprawą zaczął nawijać obiecująco napiętą żyłkę na kołowrotek i wciąż czując wyraźny opór pomyślał, że dziś wyjątkowo szybko mu się poszczęściło, bo sądząc po wysiłku wkładanym w zapanowanie nad wędką, ryba musiała być imponująca. Po kilku minutach, ku swojemu rozczarowaniu, wyciągnął z wody... czarny worek, przypominający balon, z którego częściowo uleciało powietrze. Dera zaklął pod nosem i delikatnie dociągnął worek do brzegu. Wciąż posyłając gromy pod adresem szuszwoli zaśmiecających jego ukochaną rzekę, energicznym ruchem zmiął plastik z zamiarem spakowania go i wyrzucenia na osiedlu do właściwego pojemnika, a wtedy wyczuł, że coś jest w środku. Z lekkimi oporami rozplątał supeł, zajrzał do wnętrza pakunku i krzyknął z mieszaniną strachu, obrzydzenia i zaskoczenia. Pomyślał z żalem, że szlag trafił dzisiejsze łowienie, a o zacnym posiłku, cierpliwie czekającym na niego w ulubionym pudełku, to już w ogóle może zapomnieć. Podobnie jak o obiedzie czy kolacji, przynajmniej dziś.

W worku bowiem, niedbale omotana poplamionymi krwią bandażami, była ludzka dłoń.

Prawdopodobnie męska.

Prawdopodobnie odcięta.

Z całą pewnością lewa.

18 kwietnia, poniedziałek

W poznańskim Zakładzie Medycyny Sądowej przy ulicy Święcickiego trwało spotkanie, w którym uczestniczyła główna patolog, doktor Agnieszka Zawistowska, jej asystent Radosław Buczek oraz komisarz Bogdan Jarowicz, piastujący stanowisko szefa Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu.

Jarowicz, szpakowaty, potężny mężczyzna, posturą przypominający zawodnika rugby, starannie omiótł wzrokiem pomieszczenie, a następnie skupił się na kruchej sylwetce pani patolog, która swobodnie i z niewątpliwym wdziękiem kręciła się po swoim królestwie, skąpanym w chłodzie stali, niklu i szkła. Pracowała tam od niespełna trzech lat, zbierając zachwyty nie tylko jako sprawny i kompetentny fachowiec, ale także jako kobieta, na których nadmiar ostatnio zakład nie narzekał. Policjant wciąż pamiętał dzień, w którym zobaczył ją po raz pierwszy: najpierw głośno zassał powietrze, szykując się do zwyczajowego, męskiego, balansującego na granicy szowinizmu dowcipu, ale... Po pierwsze, ciemnobrązowe, niemal czarne tęczówki oczu patolożki, okolone gęstym wachlarzem rzęs, a po drugie, szkolenie z zakresu mobbingu i molestowania w miejscu pracy, skutecznie osadziły go w miejscu. Skończyło się na dyskretnym westchnieniu, po czym Jarowicz, chcąc uniknąć posądzeń o którykolwiek z aspektów nadużyć na płaszczyźnie zawodowej, uścisnął dłoń nowej współpracownicy z niemal miażdżącą jej drobną dłoń siłą. Syknęła odruchowo, a potem uśmiechnęła się w taki sposób, że pod zwalistym komisarzem dosłownie ugięły się nogi. W tej chwili wiedział już dokładnie, że przepadł z kretesem.

Teraz poczuł, że na jego twarz nieświadomie wypłynął idiotyczny grymas rozmarzenia, a kiedy zdał sobie z tego sprawę, ściągnął brwi i ostentacyjnie wskazał palcem na swój zegarek, dając tym niezbyt subtelnym gestem do zrozumienia, że zaczyna marnować cenny czas.

– Zaczynamy? – burknął. – Przypominam, że nie jest to jedyna sprawa, która trafiła na moje biurko, a doba nie jest z gumy...

Zawistowska stała do niego tyłem, wertując leżące na jej stole dokumenty. Pokręciła z dezaprobatą głową, ale nie

rys. Jacek Frąckiewicz

zmieniła pozycji. Za to jej asystent, wyglądający w tej scenerii jak uczeń liceum, będący na wycieczce wspierającej (bądź ostatecznie negującej) wybór medycyny jako drogi zawodowej, wbił w Jarowicza ciężkie spojrzenie. Miał fryzurę nerda, z gładko zaczesaną na czole ciemną grzywką, na nosie okulary w, co prawda, modnych, ale przyciężkawych ramkach. Za duży o co najmniej dwa numery fartuch potęgował wrażenie, że chłopak znalazł się tu przypadkowo, a pożytek z niego jest żaden. Nie zmieniało to jednak faktu, że mowa jego ciała wyraźnie wskazała Jarowiczowi, jakiego dopuścił się nietaktu, usiłując poganiać jego patronkę.

– Powolutku, panie komisarzu... – mitygowała doktor Zawistowska, starannie nakładając lateksowe rękawiczki. Skończyła przeglądać dokumenty i podeszła do niewielkiego stolika. Pochyliła się lekko nad powodem ich dzisiejszego spotkania, czyli znalezioną trzy dni temu przez przypadkowego wędkarza dłonią. – Pośpiech nie jest wskazany, bo, zdaje się, że mamy tu małą ciekawostkę – znacząco zawiesiła głos i zerknęła na policjanta. – Jest pan gotów? – Gdy Jarowicz potaknął ruchem głowy, patolożka skierowała wzrok na swojego asystenta. Buczek włączył dyktafon i dał znać, że i on jest gotowy. – W takim razie możemy zaczynać.

Zawistowska obeszła stolik, zapewniając sobie najdogodniejszą pozycję i za pomocą wskaźnika, zaimprowizowanego z jednego z narzędzi chirurgicznych, o przeznaczeniu którego Jarowicz nie miał nawet śladowego pojęcia, rozpoczęła omawianie wyników badania.

– Dłoń lewa, należąca do białego mężczyzny, w wieku około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat, zdrowa, nie nosi śladów obrażeń ani schorzeń. Cięcie gładkie, z widoczną koagulacją tkanki, arterie i naczynia zamknięte. Brak powietrza przyspieszył na odciętej już dłoni proces gnilny i rozwój drobnoustrojów. Tyle mogę stwierdzić dziś. Ale, prawdę powiedziawszy, nic więcej z tego chyba nie wyciągnę. Reszta to już wasze zadanie. – Uśmiechnęła się do komisarza.

– Biały? W sensie Europejczyk? – gwizdnął przez zęby policjant. – Nie dałoby rady trochę te wytyczne... zawęzić? Nie wiem... – Zastanowił się. – Choćby do regionu Polski?

– No fakt, spektrum dość szerokie... – westchnęła Zawistowska. – Z samej dłoni ciężko coś więcej wywnioskować. Równie dobrze może to być przyjezdny, który nie spodobał się tutejszym, jak i mieszkaniec Poznania. Dłoń mogła być wyrzucona tutaj, w Poznaniu, albo na wcześniejszym odcinku rzeki. W każdym razie, potwierdzenie tego lub wykluczenie jest już poza moimi kompetencjami. Ja mogę tylko stwierdzić, że należała do mężczyzny młodego, białego, zdrowego.

– A ta... ta ciekawostka? – Jarowicz uważnie przyglądał się zasinionej, spuchniętej i zniekształconej dłoni. – Rozumiem, że musimy odnaleźć resztę tej odciętej ręki, to jest białego, zdrowego – powtórzył za Zawistowską – choć już pewnie martwego mężczyznę w wieku około trzydziestu pięciu lat? No, to już widzę, że problemu nie będzie... – sapnął.

Zawistowska nie zareagowała na jego prowokację.

– Ciekawostka, panie komisarzu, polega na tym, że ręka nie została tak po prostu odcięta – odparła ze spokojem.

– Ale chyba sama nie odpadła? – burknął Jarowicz, lecz pod wpływem kolejnego spojrzenia asystenta patolożki zgasił uśmiech i przepraszająco kiwnął głową.

– Dłoń nie została odcięta w jakimś akcie agresji, w nerwowym pośpiechu, na dodatek przypadkowym i nieprzeznaczonym do tego narzędziem – odparła patolożka. – Ktoś ją sprawnie amputował.

– Nie rozumiem.

– Cięcie jest gładkie, fachowe, wszystkie naczynia zostały zamknięte jak podczas chirurgicznej amputacji. Normalnie, podczas operacji na sali, promień lasera automatycznie koaguluje obie krawędzie cięcia, dzięki czemu unika się nadmiernego krwawienia. Kości są starannie oddzielane, a przynajmniej cięte w najbardziej dogodnym miejscu, zapewniając szybkie, prawidłowe zamknięcie rany i umożliwiające gojenie bez zbędnych komplikacji, typu zgorzel i tym podobne. I ta właśnie dłoń została w ten sposób odjęta, choć z pominięciem lasera. Do zamknięcia rany wystarczyłby tutaj... – zastanowiła się – łuk elektryczny, którym na przykład wypala się narośla na skórze. Takim czymś zwykle posługują się chirurdzy w klinikach jednego dnia.

– Ale mówiłaś... Mówiła pani – poprawił się szybko Jarowicz – że dłoń jest, znaczy była zdrowa. Po co w takim razie amputować zdrową kończynę? Nie sądzę, żeby nieoznakowana torba z chirurgii wypadła z transportu w drodze do krematorium. Poza tym, krematoria szpitalne są zwykle w tym samym budynku, co oddział chirurgii. Hm... – skrzywił się. – Śmierdzi mi to jakimś zwyrodnialcem w białym kitlu. Ale żeby lekarz...?

– Cóż, jak wszyscy wiemy, wiele hipotez wskazuje na to, że Kuba Rozpruwacz był chirurgiem, co jednak nie czyni ze wszystkich lekarzy psychopatów. – Zawistowska ruchem głowy wskazała na dłoń, więc Buczek szybko podszedł do stolika i starannie nakrył ją chustą. – Świadczy to tylko o tym, że każdego może dopaść szaleństwo. Wracając do sprawy: niewykluczone, że za jakiś moment znajdziecie kolejne elementy ciała, równie elegancko i fachowo oddzielone przez jakiegoś... hm... chirurga.

– Ktoś ją celowo tam wrzucił, pewnie z góry zakładając, że za chwilę zostanie wyłowiona... – Zamyślił się komisarz. – Zawiązany worek zachował się jak balon, dzięki czemu, przynajmniej przez jakiś czas dryfował. Pytanie, na jakim odcinku miał być wyłowiony: tu, wcześniej, a może bardziej na północ? I w ogóle, to jak i dlaczego ta dłoń znalazła się w wodzie?

– Nie wiem – stwierdziła Zawistowska. Zdjęła okulary, rękawice i podeszła do swojego biurka. – Raport w zasadzie można już zabrać, wydrukowałam go przed rozpoczęciem naszego spotkania. – Sięgnęła po kartkę leżącą na wierzchu i podała ją komisarzowi. – Z mojej strony to wszystko. Jeżeli znajdziecie inne elementy ciała jakiegoś eNNa, będzie można w laboratorium sprawdzić zgodność tkankową i ewentualnie potwierdzić DNA.

– Cholera jasna, jeszcze mi tu tego brakowało! Będę szukać reszty tych klocków po całym Poznaniu, jakby ludzie nie mogli tego w jednym miejscu załatwić – Jarowicz warknął z irytacją. – No dobra, kończymy, bo nie ma tu już nad czym deliberować. Gdyby coś jeszcze tu wyszło, to dzwoń... proszę dzwonić od razu, bez tych idiotycznych procedur. Wracam na komendę, może ci od zaginięć będą mieli coś pasującego. No, do tej ręki pasującego...

Fragment powieści „Utopiec", ostatniej części trylogii (poprzednie to „Bebok" i „Strzyga"). Powieść ma się ukazać w listopadzie 2021 r. w wydawnictwie Vectra.

Robert Rudiak

Szum zieleni i ptasi koncert

W 2020 roku wyszedł 16 tomik Władysława Klępki „Szept, trzepot, szelest", na który złożyło się 80 wierszy oraz zawartych w pięciu częściach kilkanaście aforyzmów i przysłów – „Supełki według Kolberga". Teksty poetyckie autor pogrupował w siedem cykli: „Wyspa zieleni", „W kręgu natury", „Szept, trzepot, szelest", „Będzie dobrze", „Łąka, pole", „Decymy" i „Tetrastychy".

Zbiorek otwiera dziesięć wierszy cyklu „Wyspa zielona", w którym świat poetycki eksploduje gamą barw i dźwięków, mieni się i kipi przeróżnymi kolorami i odcieniami leśnych i polnych roślin, zwłaszcza tonacją zieloną, echem zjawisk atmosferycznych, krzątaniną gromady zwierząt i owadów, czy wreszcie przemianami pór roku.

W podobnym tonie stwarza W. Klępka poetyckie wizje natury na pozostałych stronicach. Autor skrupulatnie obserwuje faunę i florę, ukazuje przyrodę jako naturalną siłę wraz z pięknem jej trwania, które jawią mu się całym sztafażem roślinnej ornamentyki, feerią barw od czerni i brązu poczynając, po rudy, sepię, koralowy, liliowy i biały; poeta skrupulatnie śledzi ruchy zwierząt i fazy nieba, słucha leśnych odgłosów – ech, szeptów, trzepotów i szelestów, solowych treli i ptasich koncertów, wreszcie odczuwa całe spektrum polnych zapachów. Na kartach zbioru przemieszczają się więc wilki, żurawie, krogulce, dzwońce, psy, szpaki, sroki, sowy, sikorki, słowiki, zięby, kukułki, szczygły, mienią się jarzębiny, białe noce, w księżycowej poświacie połyskują czerń i ciemność.

W części trzeciej „Będzie dobrze" autor podąża znaną mu ścieżką lirycznych opisów i żywiołowych doznań. Stąd znów jest tu gwarno od zwierząt i zielono od drzew czy kiści winogron. W utworze „Zielone Zatonie" przywołuje park i pałac księżnej Dino na Zatoniu. W innych lirykach opisuje ulicę Zachodnią, park Piastowski i Wzgórza Piastowskie.

W wierszu „Leśnym duktem idą wiersze" poeta expressis verbis wypowiada poetyckie credo. Jego teksty rodzą się w lasach, na wzgórzach, wśród drzew i ptactwa. Bez przyrody trudno byłoby mu tworzyć. Natura i poezja są dla niego nierozerwalne. Bytują obok siebie, ale też przenikają się wzajemnie, stając się jednią. Przyroda jest samoistną poezją, powstaje z chwilą wejścia do lasu, pisze się sama na parkowej ścieżce, łące, polanie czy leśnym trakcie. Poeta wdzięczny jest ptakom, że potrafią go natchnąć, „wywodzić", pokazywać i wprowadzać w swój dziki świat, dlatego podmiot rozmawia z nimi, przekomarza się czy wręcz spowiada. Tak dzieje się w utworach w całości i tytularnie poświęconych czajce, sroce i sójce. Ale podobnie jest z porami roku – zwłaszcza jesień i zima to ulubiony termin obserwacji przyrody, dookolnych zmian na horyzoncie czasowym i przestrzennym. To dla twórcy odpowiedni moment do refleksji i przemyśleń, ożywienia emocji i potęgowania nastroju.

W cyklu „Decymy" autor zawarł dziesięć rymowanych 10-wersowych artefaktów, wprowadzając czytelnika do mitycznej i baśniowej przestrzeni, wypełnionej półludzkimi i półboskimi postaciami, greckimi bogami i herosami. Pojawiają się zatem: Orfeusz, Prometeusz, Chiron, Muza, półkonie stwory, duchy, czarownice, centaury, satyrowie, smoki, skrzydlate węże, prajaszczury, a nawet kosmici.

Tomik zamykają tetrastychy – 20 czterowersowych impresji, w których w skondensowanej i lapidarnej formie autor przytacza, nieraz w sposób zabawny, kiedy indziej w gorzki, własne obserwacje i przemyślenia na temat czasu, przemijania, definicji poezji i sztuki, „stanu błogości w porze kanikuły" i natchnienia czy zadumy „znalezionej w ciszy" oraz poszukiwania sensu ludzkiego istnienia i wartości – prawdy, miłości, nadziei i wiary.

W. Klępka to nie tylko poeta i malarz natury – w tomiku znalazło się kilka jego prac, głównie naturalistycznych grafik i rysunków – ale, jak od lat konsekwentnie przekonuje w swojej twórczości, to przede wszystkim świetny znawca botaniki, ornitolog, dendrolog i osmolog w jednej osobie, zarazem piewca naturalizmu, apologeta świata animalnego i roślinnego. Do tego uważny obserwator tego przyrodniczego systemu, którego na co dzień doświadcza i czerpie życiowe nauki, a jednocześnie zręcznie warsztatowo operuje słowem – bawiąc przy tym, aluzyjnie żartując, kpiąc sarkastycznie, często przekornie ironizując na własny temat czy też przewrotności czasu i losu lub po prostu śmiejąc się z własnej starości i przemijalności, ze swoich dysfunkcji i przypadłości. Jest pogodzony ze światem. Dlatego wiersze W. Klępki w swojej wymowie i przesłaniu często przywołują na myśl podobieństwo do fraszek i pieśni mistrza z Czarnolasu, są pełne dowcipu i zachwytu nad urokami ludycznego, rustykalnego życia w zgodzie z naturą.

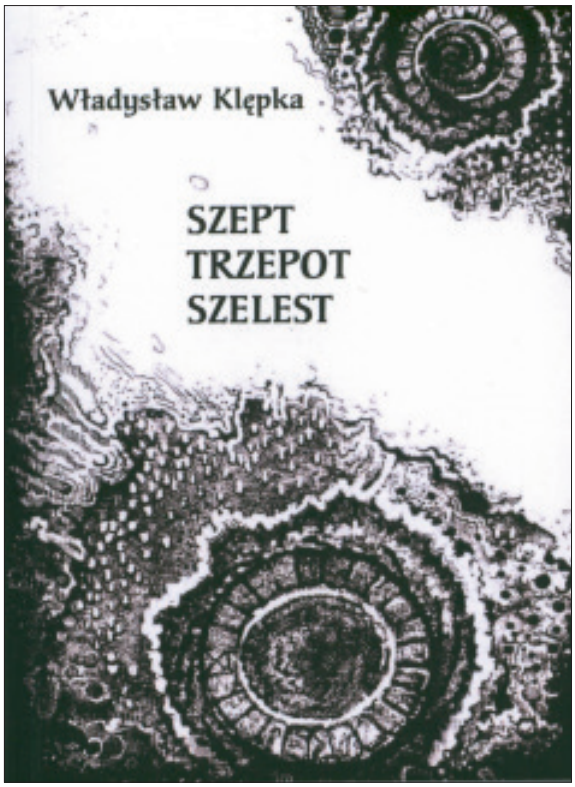

Władysław Klępka, „Szept, trzepot, szelest", Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica", Zielona Góra 2020, s. 104.

Marta Ruszczyńska

Warunki tej miłosnej gry

Tomik opowiadań „W objęciach pisarza" Marcina Radwańskiego, twórcy już dobrze rozpoznawalnego w lubuskim środowisku literackim, wpisuje się, jak sądzę, w nurt prozatorskich poszukiwań autora.

Marcin Radwański, „W objęciach pisarza", wyd. e-bookowo.pl, Będzin 2021, 138 s.

W większości pomieszczonych w zbiorze małych form, a nawet miniatur, zielonogórzanin skupia się na tematyce erotycznej. Sugeruje to w wyrazisty sposób, nieprzypadkowo, już sam tytuł książki. Możemy rozumieć tę metaforę na kilka sposobów. Jednak najbardziej zauważalnym zdaje się być temat wiodący, a mianowicie zawarty w tych opowiadaniach erotyzm, zaprezentowany w perspektywie pierwszoosobowej. Pisanie o miłości w takiej formie wydaje się tu jak najbardziej na miejscu, a jest stare jak sam temat erotyczny w literaturze. Tak zresztą, zgodnie ze zwyczajem, często się to w dawnej tradycji literackiej układało, od XVIII wieku począwszy. Jednak i współczesna proza erotyczna nader często korzysta z tej sprawdzonej narracji w formie wyznań bohatera, co wcale nie musi od razu generować sentymentalności ujęcia tematu, choć edukacja sentymentalna byłaby tu jak najbardziej na miejscu. Przykładem proza amerykańskiego pisarza Henry'ego Millera, autora słynnego „Zwrotnika Raka", wyrafinowanego „prymitywisty", dla którego, jak w swoim czasie pisano, literaturę i życie łączą więzy absolutnej szczerości. Podobnie jest i w innych kulturach. Tu wymienić można niezwykłą powieść o miłości tureckiego noblisty Orhana Pamuka „Muzeum niewinności". Przytoczyłam dwa skrajne przykłady potraktowania erotycznego tematu, ale pora wrócić do zbioru opowiadań M. Radwańskiego, gdzie temat erotyczny rozwija się jako wiodący, choć nie jedyny wątek, gdyż pomieszczono tam jeszcze kilka opowiadań o zgoła innej tematyce. Jednak tych erotycznych jest najwięcej i one są w tym zbiorze najważniejsze.

Gdybyśmy zastanowili się nad tym, co łączy wszystkie miniatury prozatorskie, najbardziej zbliżone do formy opowiadania, do których autor dodał motto z japońskiego pisarza Haruki Murakamiego – „Jeżeli czytasz to samo, co inni ludzie, potrafisz myśleć tylko tak jak oni", to sądzę, że byłoby to odwołanie się do podobnej koncepcji bezimiennego bohatera, czasami zdradzającego swoje zainteresowania i literacką profesję. Obecny on jest we wszystkich opowiadaniach zielonogórzanina, z jednym chyba wyjątkiem („Żebrak") oraz w próbie zawarcia w prozatorskiej miniaturze maksimum treści, zamkniętej zaskakującą pointą. Zresztą to właśnie Japończycy są mistrzami tego rodzaju skondensowanych form, zarówno w poezji jak i w prozie, choć H. Murakami wiele zawdzięcza również literaturze amerykańskiej, jako jej znawca i wybitny tłumacz.

Drugą zauważalną cechą tych opowiadań na tematy erotyczne, narzucającą się czytającemu, jest przypadkowość spotkań obojga kochanków. I może dlatego nie wydają się one dramatami miłosnymi, może z wyjątkiem dwóch opowiadań, z których pierwsze to jakby wczesne doświadczenie erotyczne „bezimiennego bohatera", pochodzące jeszcze z lat licealnych, a zatytułowane „Historia miłosna" oraz drugie „Prawdziwy romans". Choć w tym drugim mamy do czynienia raczej z grą konwencją romansu-melodramatu, jakoś nieprzystającego do naszych czasów, gdzie jak w finale starego dziewiętnastowiecznego romansu heroina, w tym przypadku niewierna żona, ginie zastrzelona z rewolweru zazdrosnego męża i dzieje się to wszystko na oczach jej kochanka.

Natomiast pozostałe opowiadania o tematyce erotycznej łączy właśnie wspomniana przypadkowość i chwilowość spotkań dwojga kochanków, których co prawda połączyła jakaś krótkotrwała fascynacja albo nawet namiętność, ale oprócz kilku spotkań, to tak naprawdę niewiele z tych historii miłosnych wynika. Dzieje się tak dlatego, że kochankowie pochodzą często jakby z różnych światów i ich inność nie daje szans na kontynuację romansowego związku, który w pewnym momencie po prostu się kończy. Inną cechą tych miłosnych historii wydaje się jakby odwrócenie ról partnerów. To właśnie kobieta, często młodsza, staje się w tych związkach partnerem równorzędnym, a nawet dominującym, i to ona często dyktuje warunki tej miłosnej gry. Stąd wyczuwalne zaskoczenie bohatera nową nieoczekiwaną sytuacją erotyczną, jakby był na to nieprzygotowany. Może jest to projekcja fantazji erotycznych na temat spotkania takiej właśnie odważnej i bezpruderyjnej kochanki, gdyż niektóre opowiadania sugerują nieco odrealnioną przestrzeń, może na granicy snu. To niedopasowanie kochanków może być też konsekwencją zmian kulturowych, nastąpiły one również w sferze erotyki, których jednak część mężczyzn nie zauważa albo nie chce zauważać, tak jak kwestii równouprawnienia kobiet.

W jednym z opowiadań zatytułowanym „Dług" marzenia bohatera nieoczekiwanie się spełniają, ale to za sprawą niezwykłego spotkania, a nawet chyba tego co w dawnej literaturze nazywano zawarciem demonicznego paktu

z szatanem. Temat to stary jak świat i od czasu do czasu pojawia się w popkulturze, przykładem świetny amerykański film „Adwokat diabła", mający w tle powieść Andrew Neidermana, gdzie diabeł nie postukuje kopytem, a nosi modne garnitury od Armaniego, choć nazywa się John Milton, ale nie jest „szefem" „Raju utraconego" tylko nowojorskiej firmy prawniczej. W opowiadaniu M. Radwańskiego niby nie układa się to w sposób tak oczywisty, ale i tu i tam ów pakt z piekła rodem przywodzi na myśl również moralitet, gdyż współczesny Faust „podpisując cyrograf" degeneruje się moralnie, a swój talent wykorzystuje w wątpliwych celach, czyli w służbie zła. W opowiadaniu M. Radwańskiego bohater na początku znajduje banknot dwustuzłotowy i od tego momentu wszystko, zarówno w jego karierze zawodowej, jak i w życiu prywatnym zaczyna układać się nadzwyczaj dobrze. Jednak po latach ten dług trzeba spłacić i w konsekwencji bohater ląduje na ulicy. To opowiadanie zapowiada drugi pojawiający się w kilku prozatorskich miniaturach temat, a mianowicie znowu niezwykłych, a nawet niesamowitych spotkań z ludźmi, dziwnych zbiegów okoliczności oraz niesamowitych zdarzeń. W pewnym sensie byłyby to opowiadania, które można by określić mianem bizarnych, nawiązując do niedawno wydanego tomu prozy (2020) Olgi Tokarczuk.

Zastanawiając się nad jakimś wspólnym mianownikiem łączącym oba zbiory, to można zauważyć, iż w opowiadaniach zielonogórzanina, mimo oczywistych różnic, innej wyobraźni, uwarunkowań językowo-stylistycznych również wszechobecna jest atmosfera niesamowitości. Znalazłabym u M. Radwańskiego podążanie duktem dziwności naszego istnienia, jakiś pojawiających się w tle zaskakujących fenomenów i niby przypadków-nieprzypadków, ale także samej wizji świata, która staje się coraz bardziej dla nas niezrozumiała, obca i wprost racjonalnie trudna do ogarnięcia. To wszystko razem sprawia, że te niesamowite spotkania zdają się tę wizję świata dodatkowo jeszcze pogłębiać, a nawet utwierdzać. Wydaje się, że ten kryzys dotyczący sfery naszego poznania najbardziej sygnalizują zmiany zachodzące w kulturze, w szerokim tego słowa znaczeniu.

Natomiast jeżeli idzie o erotykę, to do jej niekwestionowanych walorów wpisałabym nieepatowanie czytelnika dostępną sferą popkulturowych motywów, ale raczej próbami, chyba udanymi, własnych poszukiwań dookreślenia tej sfery naszego życia. Do tego rodzaju interesujących odniesień zaliczyłabym sensualizm uwidoczniony w fascynacjach bohatera zapachem swoich kochanek. Przywodzi to znowu na myśl świetny amerykański film „Zapach kobiety" z Alem Pacino, tym razem już nie jako diabła, ale obsadzonego w roli niewidomego mentora, który użycza swojego doświadczenia erotycznego młodemu adeptowi ars amandi.

Wspomniane motywy mogą wskazywać na popkulturowy charakter prozy M. Radawańskiego, co nie musi być od razu zarzutem pod adresem tych opowiadań, gdyż to właśnie kultura popularna wręcz z prędkością światła absorbuje dziś tematy istotne i często szybciej niż sztuka wysokoartystyczna przekazuje wszystko, co ważne dla szerokiego kręgu odbiorców. Dlatego może warto, aby autor jeszcze głębiej rozwinął oba nurty swoich opowiadań, szczególnie erotycznego, gdyż w odróżnieniu od kryminałów, których jest pod dostatkiem, to dobrze napisanej prozy erotycznej było i jest w naszej literaturze zdecydowanie wciąż za mało.

Berthold Kandora

Artyści stąd

Śląsk to kraina zamieszkiwana w swojej zmiennej historii przez przedstawicieli różnych narodowości i religii, posiadająca bardzo bogate tradycje artystyczne. Niestety, są one wciąż bardzo mało zbadane.

W związku z tym polsko-niemiecki zespół autorów, działający z ramienia Uniwersytetu Wrocławskiego, pod kierownictwem prof. dr hab. Przemysława Wiszewskiego, podjął się opracowania wielotomowego „Leksykonu artystów plastyków i twórców rzemiosła artystycznego Śląska". Zadaniem tomu drugiego jest dostarczenie możliwie najdokładniejszych danych o życiu i twórczości artystów działających oraz mieszkających obecnie, bądź kiedykolwiek w Zielonej Górze. W „Leksykonie" ujęto życie i dokonania współczesnych twórców, by w ten sposób przyczynić się do promocji zarówno miasta, jak i ich postaw artystycznych. Dzieło zawiera również reprodukcje wybranych prac. Wzbogaceniem treści są informacje o twórczości i życiu nieżyjących już artystów przekazane przez ich rodziny i przyjaciół. „Leksykon" ukazał się w dwóch wersjach językowych – polskiej i niemieckiej. Warto wspomnieć, że w publikacji ujęci zostali przedstawiciele następujących zawodów: rzeźbiarze, kamieniarze, sztukatorzy, marmoryzatorzy, snycerze, artyści malarze, graficy, ceramicy, konwisarze, ludwisarze, mosiężnicy, metaloplastycy artystyczni, złotnicy, kaligrafowie, tkacze artystyczni, stolarze artystyczni, malarze i szlifierze szkła, malarze porcelany, grawerzy, rusznikarze, budowniczowie instrumentów muzycznych, producenci broni białej. Należy również wyraźnie podkreślić, że „Leksykon" nie dokonuje żadnego wartościowania ani nie zawiera tekstów krytycznych dotyczących prac danego artysty. Jedynym wyznacznikiem jest kolejna litera alfabetu i udokumentowane formy twórcze w sztukach plastycznych i rzemiośle – obok profesora wyższej uczelni znajduje się malarz amator czy artysta ludowy.

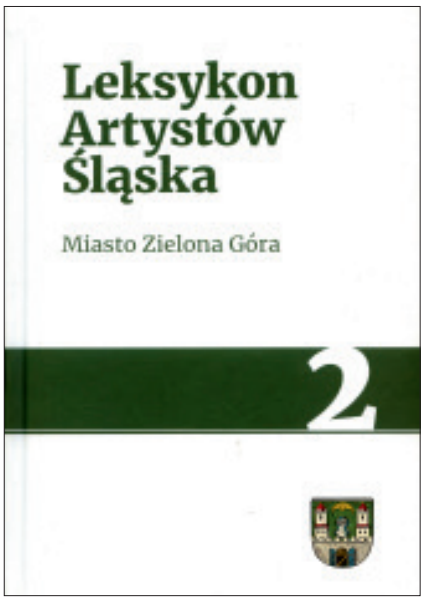

Dorota Błaszczyk, Joanna Gacek, Berthold Oskar Kandora, Urszula Ososko, Rainer Sachs, „Leksykon artystów plastyków i twórców rzemiosła artystycznego Śląska", t. 2, Miasto Zielona Góra, wyd. ViaNova, Wrocław 2021, s. 432

Alina Polak-Woźniak

Bogactwo naturalne

Zielonogórski twórca, społecznik, Igor Myszkiewicz, znany jest przede wszystkim jako ilustrator i rysownik. Jego publikacje obejmują jednak nie tylko książki graficzne, jak np. „W sepii" czy „Paprochy historii. Zielonogórskie podróże w czasie", ale i opracowania popularnonaukowe: „Signum temporis. Zielonogórskie pomniki i rzeźby plenerowe" oraz „Galeria twórców Galera. XX lat rejsu".

Tym razem autor podążył w stronę złotego środka łącząc wiedzę z obrazem. Zarówno „Krew Bachusa", jak i „Ilustrowana kronika Zielonej Góry" zostały bogato opatrzone rysunkami. W pierwszej omawianej pozycji ilustracje stylizowane są na stare drzeworyty dekorowane bordiurami z motywami winiarskimi, roślinnymi i owadzimi. W „Kronice" obrazy, będące równie ważną częścią jak sam tekst, mają także sznyt komiksowy.

Historia bardzo fascynuje I. Myszkiewicza, który miał poczucie, że właściwie nie ma opracowań dotyczących naszego miasta, napisanych po prostu dla ludzi. Rozpoczął poszukiwania w archiwach prasowych, literaturze fachowej, zwrócił się do naukowców, ale i do osób, które podzieliły się z nim interesującymi opowieściami. Obydwie omawiane książki tworzone były równolegle, dłużej powstawała polsko-angielska „Kronika", zwierająca kalendarium dziejów naszego miasta. Zestawienie rozpoczyna się ok. 4500 roku p.n.e., kiedy na terenach nadodrzańskich osiedlała się ludność kultur zbieracko-myśliwskich, a kończy na 2020 – roku, który wstrząsnął dziejami nie tylko Winnego Grodu, ale właściwie całej planety. „Krew Bachusa" to opowieści o nadnaturalnych, cudownych, także i budzących trwogę wydarzeniach, których doświadczali mieszkańcy Zielonej Góry od samego początku istnienia miasta, np. wyblakłego Słońca, Księżyca i gwiazd w 1783 r. lub przewalających się w te i we wte przez ulice hord łupieżczych wojsk pod różnymi sztandarami. To również zbiór anegdot, legend i mitów dotyczących miasta – jego potencjalne „bogactwo naturalne". Takie historyjki można opowiadać nie tylko przy winie czy kawie, mogą być też inspiracją dla różnego rodzaju aktywności artystycznej, np. dla twórców beletrystyki (wspomnieć tylko coroczny konkurs na opowiadanie w ramach „Fantazji zielonogórskich"). Obydwie pozycje zawierają w sobie informacje historyczne, pochodzące też ze wspomnień, wszystkie podane z malutką szczyptą humoru tak specyficznego dla I. Myszkiewicza. Obydwie się uzupełniają tworząc przystępną opowieść, która nie ukazuje dziejów Zielonej Góry wycinkowo, np. przez postać panującego akurat na tym terenie władcy, ale jako całość – faktograficzną, polityczną, gospodarczą, kulturalną, społeczną. W tak kompleksowym ujęciu widać, jak pewne motywy czy wydarzenia rezonują na przestrzeni stuleci, czasami jako powtórka, czasami jako niezamierzone echo lub wręcz parodia. Powtarzało się, przykładowo, usuwanie niewygodnych politycznie kapłanów: Lukasa Kühnego w 1568, Nippego i jego następców w okresie wojny trzydziestoletniej czy księdza Michalskiego w 1960 r. Za „rechot historii" autor uważa fakt powstania centrum handlowego z marketem niemieckiej sieci na miejscu dawnego obozu koncentracyjnego (ul. Wrocławska).

Warto dodać, że I. Myszkiewicz dzieje Winnego Grodu ukazał w swoim dorobku już na kilka sposobów: andegdotycznie – „Krew Bachusa", chronologicznie – „Kronika Zielonej Góry", w komiksie – „Paprochy historii", a nawet w kolorowance dla najmłodszych – „Nasze miasto 100 lat temu. Barwy Zielonej Góry".

Igor Myszkiewicz, „Krew Bachusa. Opowieści zielonogórskie", wyd. Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2020, 174 s.

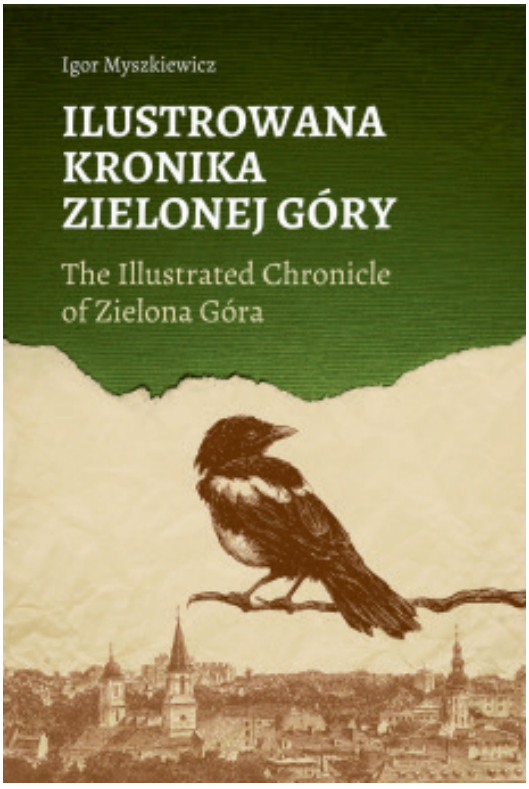

Igor Myszkiewicz, „Ilustrowana kronika Zielonej Góry", Stowarzyszenie Forum Art, Zielona Góra 2021, 324 s.

Jak się człowiek zakocha, to ślepnie

ROZMOWA Z CZESŁAWEM OSĘKOWSKIM, KOLEKCJONEREM ŚLĄSKIEGO MALARSTWA PEJZAŻOWEGO

– Kiedy przed dekadą rozpoczęłam pracę w zielonogórskim muzeum, jedną z pierwszych wystaw, jakie dane było mi prezentować na naszej stronie internetowej, była kolekcja śląskiego malarstwa pejzażowego należąca do Ciebie. Zaskoczyła mnie wówczas niebywała jej skala. Nie sądziłam, że w Zielonej Górze są osoby mogące pochwalić się tak aż bogatymi zbiorami. Czy żyłka kolekcjonerska tkwiła w Tobie od zawsze?

– Zbierałem różne przedmioty już od dziecka. Najpierw pojawiły się oczywiście znaczki pocztowe, później monety, poniemiecka porcelana. A przez moment nawet stare maszyny. Potem przyszedł okres przedwojennych pocztówek, zwłaszcza z Gubina i Zielonej Góry. Jednak po jakimś czasie ten rodzaj zbieractwa przestał mnie pasjonować i część zbiorów sprzedałem lub podarowałem różnym osobom. W polu moich zainteresowań zdecydowanie na czoło wysunęły się pejzaże śląskich malarzy, których poznawałem już wcześniej.

– Dlaczego zdecydowałeś się na ten właśnie wycinek malarstwa?

– Ono jest po prostu ładne. Ta forma mi się podoba, bo jest malowana z natury. A tak w ogóle kolekcjonowanie śląskiego malarstwa pejzażowego poprzedziło moje zainteresowanie Dolnym Śląskiem i Karkonoszami, które przez kilkadziesiąt lat schodziłem wzdłuż i wszerz. Już w latach siedemdziesiątych podczas odwiedzin targów staroci i antykwariatów zauważyłem, że jest tam dużo obrazów ukazujących urodę Karkonoszy. Wówczas pojawiły się pierwsze zakupy, choć prace były zniszczone, brudne, zaniedbane. Na poważnie o kolekcji zacząłem myśleć dopiero w latach osiemdziesiątych. Wtedy też zdałem sobie sprawę, że nie można zbierać wszystkiego.

– Czy przyjąłeś jakiś zakres czasowy?

– Swoje zainteresowanie ograniczyłem do artystów związanych z przedwojenną Pracownią Malarstwa Krajobrazowego i Klasą Malarstwa Krajobrazowego we Wrocławiu, na bazie których po wojnie powstała wrocławska Akademia Sztuk Pięknych. Moją kolekcję otwierają niemieccy profesorowie Adolf Dressler i Carl Ernst Morgenstern oraz ich uczniowie. Datą zamykającą jest rok 1945.

– Czy masz swoich ulubionych malarzy, których szczególnie podziwiasz i lubisz?

– Zafascynowany jestem malarstwem Gertrud Staats. Mam prawie 30 prac tej artystki. Przyznam się, że są obrazy, których nie oddałbym za żadne pieniądze, najwspanialszy dom czy najpiękniejszy samochód. Nie i koniec! Niektóre z nich oglądam niemal codziennie.

– Wątek zielonogórski Twojej kolekcji?

– Mam 15 prac urodzonego w Zielonej Górze Carla Friedricha Seifferta, przeważnie widoki alpejskie, chociaż nie tylko. To bardzo dobry artysta, a jego obrazy można oglądać w Muzeum Narodowym w Berlinie. Mam też prace Gerhardta Reischa, znanego zielonogórskiego artysty okresu międzywojennego.

– Jaką drogą nabywałeś prace?

– Początkowo można było kupić bardzo dobre obrazy za stosunkowo nieduże pieniądze, gdyż szacunek do niemieckiej sztuki pojawił się dopiero po latach. Kupowałem więc od osób prywatnych, w antykwariatach, na targach staroci, wymieniałem. Z początkiem lat dziewięćdziesiątych, gdy nastąpił wysyp tych prac, pojawiła się dodatkowo możliwość ich nabywania na zagranicznych aukcjach drogą internetową. W ten sposób wylicytowałem i kupiłem kilkadziesiąt obrazów.

Czesław Osękowski jest historykiem. W swojej kolekcji ma grubo ponad sto obrazów. *fot. Alicja Błażyńska*

– Czy nie zawiodłeś się, otwierając przesyłkę z obrazem zakupionym drogą internetową?
– Tylko jeden raz sprzedano mi fałszywy obraz, ale po interwencji i przedstawieniu odpowiednich opinii dom aukcyjny zwrócił mi pieniądze. Kupowałem w Australii, Stanach Zjednoczonych, Austrii, Szwajcarii, Niemczech, Czechach. Zresztą to się wie. Nie można tyko oglądać, ale i trzeba czytać opinie, opisy, literaturę fachową. Poza tym zawsze wolałem kupić obraz niekonserwowany. Przyznaję się, że przepłacałem dziesiątki razy, bo jak się człowiek zakocha, to ślepnie.

– Wielu kolekcjonerów otacza się konsultantami. Czy Ty również?
– Oczywiście. Kiedy podchodzi się poważnie do swojej kolekcji, nie można inaczej. Znam wielu konserwatorów i historyków sztuki zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. To głównie pracownicy muzeów, domów aukcyjnych i antykwariatów. Od lat jestem zaprzyjaźniony z wieloma spośród z nich. Szczególnie cenię fachowość Piotra Łukaszewicza z Muzeum Narodowego we Wrocławiu, będącego najlepszym znawcą malarstwa śląskiego.

– Mówi się, że kolekcjonerzy wytyczają pewne trendy, wręcz układają rynek sztuki. Co sądzisz na ten temat?
– Zgadzam się. Wręcz uważam, że mam pewien wkład w to, iż dziesiątki śląskich przedwojennych obrazów wróciło po 1989 roku do Polski. Poszukując obiektów do mojej kolekcji, nawiązałem wiele kontaktów z muzeami, instytucjami i prywatnymi osobami. Zwłaszcza w Niemczech. Ta wymiana informacji spowodowała, że zrozumiano tam, iż pojawił się nowy rynek nabywców i to w Polsce.

– Lubisz udostępniać swoją kolekcję?
– Pokazywałem obrazy w muzeach i na wystawach we Wrocławiu, Gorzowie, Jeleniej Górze, oczywiście w Zielonej Górze. Było też kilka wystaw w Niemczech. Poza tym udostępniam swoje zbiory, gdy ktoś przeprowadza kwerendę , pisząc na przykład pracę o którymś z artystów. Bywa że nawet muzea konsultują ze mną pewne zagadnienia dotyczące śląskiego malarstwa pejzażowego.

– Dzielisz się swoją kolekcją nie tylko użyczając obrazy na wystawy, ale również przekazując niektóre z nich dla muzeów.
– Takim przykładem może być duży obraz Roberta Balckego, który podarowałem muzeum w Świebodzinie. Praca przedstawia tamtejszy rynek.

– Jacy są kolekcjonerzy?
– Jedni patrzą na kolekcjonerstwo od strony sztuki, jakości i estetyki, ja do nich należę. Są też drudzy, którzy dzieła sztuki traktują jako lokowanie kapitału.

– Twój zbiór to grubo ponad sto obrazów.
– Cześć znajduje się u moich dzieci, cześć w moim domu. Poza tym nieustannie następuje rotacja. Muszę się przyznać, że jest jeszcze kilkanaście prac w orbicie moich zainteresowań. Gdyby dziś pojawiły się na rynku antykwarycznym, od razu bym je kupił. Zresztą to działa i odwrotnie. Mam sporo obrazów, które w każdej chwili mogę odsprzedać, bo są na nie chętni i to od lat. Kolekcjoner musi być cierpliwy, ale musi też wiedzieć czego chce.

– Porozmawiajmy o pieniądzach. Pozyskiwanie obrazów kosztuje. Czy odbywało się to kosztem dużych wyrzeczeń?
– Całe życie dużo pracowałem. Nie tylko na jednym etacie, często jeszcze dodatkowo na drugim lub nawet trzecim, pisałem ekspertyzy, książki i recenzje. Przed laty otrzymaliśmy też z małżonką spadek. Dlatego poszerzanie mojej kolekcji nigdy nie odbywało się kosztem poziomu życia w domu. Ogólnie mówiąc: rodzina sprzyjała. Po czasie zresztą wiele nowych obiektów nabyłem drogą wymiany lub sprzedaży jednych i zakupu innych.

– Gdybyś miał udzielać rady przyszłym kolekcjonerom, to jakie byłby pierwsze zdanie.
– Nie wolno tylko kupować i nie można kupować wszystkiego. Poza tym nie trzeba się bać wymiany ani sprzedaży. Należy też pogłębiać swoją wiedzę na temat zbiorów i dbać o ich jakość. W przypadku obrazów jest to właściwa konserwacja, odpowiednia oprawa. Jestem zwolennikiem przywracania dziełom sztuki ich pierwotnego blasku.

– Dziękuję.

Alicja Błażyńska

Degustacja komentowana

Winobranie w Zielonej Górze to doskonały czas, aby się spotkać, napić się wina oraz o nim porozmawiać. Tym razem postanowiliśmy spróbować trunków wyprodukowanych przez winnicę Kinga w Starej Wsi koło Nowej Soli. Jest to zasłużona plantacja, która działa już od 1985 roku. Założycielami byli Halina i Wojciech Kowalewscy, rodzice Kingi, obecnie prowadzą ją Kinga i Robert Koziarscy.

Pierwszym degustowanym przez nas winem było Remedium Alba 427. Ta ciekawa nazwa wzięła się od tego, że winnica jest położona na 427 kilometrze Odry. Jeszcze przed rozlaniem trunku rozpoczęła się dyskusja nad pojęciem couvée, czyli mieszanki różnych szczepów.

Liddy: W nosie czuję cytrynę, po czym zapach przechodzi w rozgniecione, przejrzałe banany.

August von Birne: Owoce, trochę cytrusów. Po dłuższej chwili czuję owoc liczi.

L: To całkiem możliwe, to musi być słodki i miękki owoc.

Fritz Brieger: To młode wino i dlatego czuję zapach skórki cytryny. Przyjemny, który kojarzy mi się ze świeżością.

Ewald Hase: Bardzo was przepraszam, ale tutaj nie ma mowy o żadnych owocach. Wino to w nosie jest jak łąka nad rzeką po sianokosach, czuć bowiem bukiet kwiatów.

Emma: Ja również mam inne zdanie niż moi poprzednicy. W zapachu czuję miód, taki lekki miód pitny.

L: W smaku czuć na początku cytrynę, jednak finisz jest bardzo krótki i mało intensywny.

FB: To specyfika młodych win.

AvB: Wino w smaku jest bardzo zbalansowane, bardzo lekko wchodzi. Doskonałe do tego białego mięsa, które przed chwilą z takim smakiem zjadłem.

EH: Alba jeszcze lekko musuje. Smak lekkiej goryczki jest dosyć zaskakujący.

E: Goryczka jest tylko przejściowa, ale potrafi wszystko zdominować.

FB: Ten zapach kwiatów, a nawet łąki związany jest z miejscem, w którym funkcjonuje winnica. Jest ona położona kilka metrów za wałem przeciwpowodziowym nad samą Odrą. Dawniej były to tereny zalewowe i z tego powodu gleba jest bardzo specyficzna, inna niż w większości naszych winnic.

AvB: Dodaj, że winogrona rosną na bardzo płaskim terenie, który teoretycznie nie nadaje się do ich uprawy. Mimo tego, słońce padające na krzewy nadaje gronom wyjątkowy smak.

L: Zdziwię was, ale to wino świetnie nadaje się do lodów.

EH: Albo do królika w sosie śmietanowym.

FB: Proponuję, aby było podawane w kubełku z lodem.

Kolejnym winem, jakie podano, było różowe Remedium Rosea 427.

FB: Bardzo piękny kolor. Tak powinno wyglądać prawdziwe rosé!

EH: Lekko musuje, kolor łososiowy.

L: Bardzo klarowne.

FB: Ostro atakuje nos poziomkami, czerwoną porzeczką. Po chwili czuję mirabelki, takie rosnące przy wiejskich drogach. Dodatkowo jest bardzo świeże.

L: Bardzo świeże oraz delikatne. Nie jest przetłaczające.

AvB: Wyczuwam lekkie owocowe nuty, ale wszystko jest zbalansowane.

E: Wyczuwam zapach oraz smak śliwki, ale nie mirabelki, tylko takiej czerwonej, malutkiej.

FB: Chciałbym je zawsze pić, jest idealne zbalansowane.

E: Zaczyna się jako słodkie, później jest delikatna goryczka.

EH: Powiem wam, że barwa oraz smak została maksymalnie wyciągnięte ze skórek winogron. Jest balans pomiędzy kwasowością a słodyczą i alkoholem.

L: Czuję smak rabarbaru zapieczonego w cieście drożdżowym. Wiecie, w takim gorącym cieście, wyciągniętym zaraz z pieca.

AvB: A ja śliwki.

E: Liddy podsunęła mi porównanie smaku tego wina do oranżadek w proszku, równie różowych i musujących.

FB: To idealne wino na letnie wieczory. Można je zabrać ze sobą na piknik, patrzeć jak zachodzi słońce. To wyjątkowe wino, tak powinno smakować idealne rosé.

fot. Alicja Błażyńska

AvB: To dobre wino do słodkich dań.

L: Auguście, dołóż sobie jeszcze jeden kawałek ciasta.

Na końcu podano wino czerwone, Remedium Nigrum 427, z austriackiego szczepu zweigelt.

L: Wino ma zapach sernika na zimno z galaretką wiśniową.

AvB: Albo niczym wiśniowy kompot.

EH: W smaku rzeczywiście wyczuwalna jest wiśnia, dojrzała truskawka i lekkie nuty pieprzowe.

L: Smakuje jak Mon Chéri, czyli takie czekoladki.

AvB: Dla mnie ważne jest to, że nie czuć beczki, brakuje tutaj tanin.

EH: Trzeba było trochę poczekać, aby wino się otworzyło. Ja teraz czuję smak sernika na zimno z wanilią.

E: To dobre wino do pieczonych mięs. Czuć posmak żurawiny, która jest owocem leśnym i pasuje właśnie do mięs oraz różnych serów.

FB: Ja czuję maliny oraz inne leśne owoce. W smaku jest dosyć delikatne. W sam raz dla początkujących konsumentów, którzy chcą zacząć swą przygodę z czerwonym winem.

Wszystkie trzy wina, które były degustowane, są bardzo przyjazne dla konsumenta, bo ich smaki są delikatne, zbalansowane, uniwersalne, a i cena tych trunków jest łagodna dla kieszeni.

SABAT

Tomasz Kowalski
Sylwester Woźniak

Wpadki, gafy i inne dziwne przypadki

Kabareciarze, którzy uwielbiają się śmiać z innych, sami mają też różnego rodzaju potknięcia i wtedy inni mogą się pośmiać z nich…

Dariusz Kamys, czyli „Kamol" z kabaretu Potem, stał za kulisami i oglądał przedstawienie innej formacji. W pewnym momencie zauważył przycisk, który postanowił, tak dla hecy, nadusić. Przycisk uruchomił kurtynę, która opadła i zasłoniła występujących na scenie. Mimo rozpaczliwych prób Kamola, przycisk nie zadziałał w drugą stronę.

Adam „Smutny" Pernal, nieodżałowany pianista potemów, szykował się do wyjścia na scenę. Za kulisami znajdowali się też różni ludzie z obsługi. Ktoś z nich zahaczył papierosem o kieszeń Smutnego i żar wpadł do środka. Adam usiadł do pianina i zaczął grać, w pewnym momencie poczuł pieczenie, więc uderzył ręką w kieszeń, potem drugi raz, trzeci, a gdy żar nie chciał zgasnąć, przerwał grę i już rękoma walił się po kieszeni. Publiczność myślała, że jest to element utworu, symulacja gry na perkusji.

Innym razem Pernal, również przed wejściem na scenę, włożył sobie rękę do kieszeni, gdzie znajdowała się żyletka i skaleczył sobie palec. Na szybko owinął go papierem i przystąpił do gry na pianinie. Opatrunek okazał się nieszczelny i po chwili klawiatura spłynęła krwią.

Bywały sytuacje jeszcze groźniejsze. Gosia Czyżycka, aktorka kabaretu Ciach, szykowała się do wejścia na scenę, obok niej gibał się niestabilny wieszak na płaszcze. Pech chciał, że drgania ze sceny i zaczepiona ogromna ilość ubrań spowodowały, że wieszak przewrócił się i ostrą krawędzią zranił Gosię w okolicy oka. Aktorka dała jednak radę opanować ból i szok, wyjść na scenę i śpiewająco zagrać swoją rolę.

Kolejną trudną do opanowania sytuację Gosia rozegrała ze sprytem. Był to występ w jednym z miast Wielkopolski. Aktorka chciała zrobić kawał koledze, który już był na scenie, postanowiła go zaskoczyć wyjściem z innej strony niż zwykle. Przemieszczając się po ciemku za wąskimi kulisami, wpadła do skrytki w podłodze, służącej do przechowywania mikrofonów i statywów. Zdołała się jednak wygramolić i lekko poobijana wpadła na scenę w ostatniej chwili.

Któregoś razu, gdy w żagańskim pałacu występował Ciach, scena była zbudowana z dużych drewnianych sześcianów, które połączone ze sobą tworzyły płaszczyznę. W pewnym momencie Adam Magier, mając dynamiczną akcję do wykonania, wyskoczył zza kulis. Niestety, sześciany rozsunęły się i Adam wpadł w szczelinę. Odegrał swoją kwestię, choć był widoczny tylko od pasa w górę.

Tomek Kowalski, będąc jeszcze w kabarecie Drugi Garnitur prześmiewającym wiersze i pieśni okresu socrealizmu, miał scenę, w której rozwalał cegły z popularnego „karata". Cegły były ustawione dwie pionowo, a na nich jedna poziomo (zrobione ze styropianu). By wykonać cios, Tomasz musiał przykucnąć i pewnego razu poczuł, jak spodnie rozchodzą mu się na szwie, na tylnej dolnej części ciała. Co najgorsze, następną scenkę miał grać odwrócony, wykonując wiersz „Byt określa świadomość", ale ze wstydu nie chciał wyjść na deski. Niestety, Władek Sikora wypchnął go, a publiczność chichotała.

Krzysztof Langer z kabaretem PAKA, który ma rodowód zielonogórski, wiózł kiedyś swoją formację na występ. W pewnym momencie zorientował się, że zmierza w odwrotną stronę, nie do tego miasta, co trzeba. Miejscowości miały podobną nazwę. Ekipa gnała na złamanie karku i kiedy kabareciarze przybyli do celu, okazało się, że publiczność już zajęła miejsca. Musieli więc wchodzić przez okno, żeby nie pokazać się na pełnej publiki sali.

Niejaki Łylfu, będący przyjacielem kabareciarzy, dostał zadanie wejścia na scenę w czasie skeczu i odegrania epizodycznej roli, czyli powiedzenia „Dzień dobry". Wszedł i ze stresu powiedział „Dobry wieczór", z przerażeniem zbiegł za kulisy mamrocząc „Ku…a, spie…łem". Oczywiście wyłapał to boczny mikrofon i publiczność miała okazję do długiego rechotu.

W konińskim amfiteatrze formacja Ciach była jednym z wykonawców. Na zakończenie swojego programu zagrali skecz „Deszczowa piosenka", który polegał na tańcu pod parasolką z doczepioną konewką. Na koniec cała scena była zalana wodą. Kolejny był Ivan Komarenko wraz z pięknymi, efemerycznymi tancerkami w zwiewnych sukienkach i w pantofelkach na wysokich obcasach. Tomek Kowalski zamarudził za kulisami pod pretekstem, że musi pozbierać rekwizyty po występie, ale wiadomo, że został, żeby mieć lepszy widok na tancerki. Kiedy występ Ivana się skończył, urokliwe dziewczyny zbiegły ze sceny. Tomek usłyszał, jak jedna do drugiej mówi: „Ku…a, widziałaś, ile tam wody? O mało się nie wyj...ałam".

fot. Archiwum

Sprawcy niektórych wpadek. Patrząc od lewej – trzeci Adam Magier, piąty – Tomasz Kowalski, szósty – niejaki Łylf

Marek Herejczak

Włóczęga to już tylko historia festiwalu piosenki

Dwadzieścia lat tradycji. Legenda pamiętana daleko poza Zieloną Górą. Chcę przybliżyć dzieje największego studenckiego festiwalu piosenki turystycznej i nieobojętnej, jaki odbywał się w murach WSI.

Przegląd Piosenki Turystycznej był w prostej linii efektem popularnego w studenckim środowisku zielonogórskim (jak i wówczas w Polsce) ruchu turystycznego. Jego emanacją były rajdy górskie, z których najpopularniejszym i najliczniejszym był ten organizowany wiosną (pierwszy w WSI – w maju 1967 r.). Nieodzownym elementem rajdu były instrumenty muzyczne – gitara, skrzypce, akordeon, banjo, które umilały wieczory spędzane w schroniskach.

W 1974 r. studenci WSI powołali Akademicki Klub Turystyczny SZSP-PTTK „Eksplorator". Pierwszym prezesem został Kazimierz Bajda. To z inicjatywy klubu w kwietniu 1976 r. zorganizowano kilkunastoosobowy, dwudniowy wyjazd do Łagowa w celach czysto muzycznych. By wypad wyglądał poważniej, imprezę nazwano, Łaguna 76. Wtedy w Łagowie narodził się pomysł organizacji w przyszłości Przeglądu Piosenki Turystycznej.

W lutym 1977 r. odbyła się Włóczęga. Pierwsza, ale z numerem II – by zachować ciągłość po łagowskim muzykowaniu. Zorganizowano ją w klubie studenckim U Jana przy ul. Podgórnej. Ta Włóczęga była imprezą środowiskową studentów WSI i WSP. Laur zwycięzcy przypadł wówczas Sławomirowi Magdziarzowi z WSP.

Trzeci festiwal, który odbył się 25–26 lutego 1978 r., gościł w auli uczelnianej 40 uczestników. Laureatami zostali: I miejsce – Jerzy Michajłow z Akademii Medycznej we Wrocławiu. II – Antoni Muracki z Uniwersytetu Warszawskiego. III ex aequo – grupa Mała Sprawa z Akademii Rolniczo-Technicznej w Bydgoszczy i grupa Do Góry Dnem z Akademii Rolniczej w Szczecinie. Wyróżnienia otrzymali: Małgorzata Siłka – WSP Zielona Góra, grupa Przed Sesją – WSI Zielona Góra, Katarzyna Arkuszewska – Politechnika Gdańska, Zdzisław Szczypka – Katowice i Sławomir Magdziarz – WSP.

Rok 1979 to IV Włóczęga od 24 do 25 lutego. Źródła informują o dużym zainteresowaniu wykonawców ze środowisk akademickich kraju, dlatego zmieniono nazwę spotkania na Ogólnopolski Przegląd Piosenki Turystycznej „Włóczęga". Wzięło w nim udział 78 wykonawców. Grand Prix otrzymała grupa Seta z Wrocławia, I miejsce – grupa R z Rzeszowa, II – grupa Tymczasem, III – grupa Rynek Łazarski.

W V Ogólnopolskim Studenckim Przeglądzie Piosenki Turystycznej „Włóczęga" wystąpiło 17 podmiotów wykonawczych, złożonych z 71 artystów. W kategorii piosenka turystyczna Grand Prix otrzymała Grupa Pana Leona, I miejsce – grupa TOP, II – zespół Szmelcpaka, III – grupa Trójka bez Sternika. W kategorii piosenka studencka I miejsce jury przyznało grupie Kurz na Obiekcie z Białegostoku, II – Markowi Szołomiakowi, III – grupie BCF.

W 1980 r. odbyły się dwa przeglądy. Zimowa Włóczęga zaczęła się 19 grudnia, trwała trzy dni. Była ona pod pewnym względem jedyna i niepowtarzalna, gdyż na tym przeglądzie śpiewano nie tylko piosenki studenckie, turystyczne, ale również kolędy. Laureatami w kategorii piosenki turystycznej zostali: Grand Prix – grupa Filia Adama, I – grupa BCF, II – ex aequo grupa Po Co i Grupa Pana Leona. W kategorii piosenka studencka I miejsce zajęli Marek Majewski i Andrzej Donarski.

Zawirowania polityczne 1981 r. przeszkodziły organizatorom, dlatego siódmy przegląd miał miejsce w maju 1982 r., ale znaczku wybitym z okazji tego wydarzenia Zimowa Włóczęga 81. Główną nagrodę otrzymała grupa BCF. Nagroda za walory muzyczne i debiut na Włóczędze przypadła grupie U Ojca. Za całość I nagrodę dostał Andrzej Donarski z Zespołem Parkinsona, II – grupa Po Co, III – Ryszard Krauze.

Ósmą Włóczęgę w 1983 r. w ostatniej zorganizowano dosłownie chwili, co potwierdziły skromne dekoracje. Autor relacji z przeglądu w jednodniówce „Faktor" napisał, że brak dekoracji miał być dekoracją i odniesiono to do charakterystycznej cechy Teatru Ubogiego. Dociekano, czy miała to być „Piosenka uboga". Dzień pierwszy to kabareton oraz wyczekiwany przez większość występ przebywającego po raz pierwszy w Zielonej Górze Przemysława Gintrowskiego. Laury otrzymali: I miejsce – ex aequo grupy Do Góry Dnem ze Szczecina oraz I z Poznania i z Torunia, II – ex aequo grupy Moczopęd Band i Na Co z Gdańska, III – Marek Szołomiak z Zielonej Góry.

Dziewiąty przegląd w 1984 r. to Piekielna Włóczęga. Określenie zawdzięcza „wspaniałej i pomysłowej dekoracji, iż najstarsi wykonawcy jak

Grand Prix w 1979 r. zdobyła grupa Seta z Wrocławia

fot. Archiwum autora

Polska długa i szeroka takiej nie pamiętają". Występujący czuli się na scenie jak w piekle, gdyż przedstawiała przybytek grzesznych dusz. Dekoracje wykonał Leszek Malanowski i uczennice z liceum plastycznego. Jury nie przyznało Grand Prix. I miejsce zajęła grupa Pass, II – grupa AKT Olsztyn, III – grupa Gdziekolwiek.

W Bajkowej Włóczędze zorganizowanej w marcu 1985 r. udział wzięło 31 podmiotów wykonawczych. Komisja konkursowa przyznała trzy I nagrody – Staremu Dobremu Małżeństwu z Poznania, Aleksandrze Kiełbi i grupie Zegro z Zielonej Góry, II – grupom Gdzipies z Wrocławia, Edek i Spółka z Zielonej Góry i Fart z Nowej Soli, III – grupie JCP z Bydgoszczy, Ryszardowi Maniasowi z Gdańska i grupie Mrówa Band z Łodzi.

Na XI przegląd piosenki turystycznej w 1986 r. przyjechało 39 solistów i grup. Grand Prix otrzymała zielonogórska grupa Zegro, nagrodę specjalną – Krakersy z Wrocławia, I miejsce – zielonogórzanie tworzący grupę Edek i Spółka, II – ex aequo grupy Sawak z Zabrza i Fart z Nowej Soli, III – ex aequo grupy Canto z Gdańska i Bliżej niż Dalej z Giżycka.

Czytając zachowany protokół jury z 1987 r. trudno oprzeć się wrażeniu, że poziom artystyczny dwunastej Włóczęgi się obniżył. Jurorzy stwierdzili, że po wysłuchaniu 37 wykonawców są przerażeni „brakiem samokrytyki u większości autorów i wykonawców zaprezentowanych piosenek. Samokrytyka ta powinna obejmować tak oczywiste walory, jak: dobry tekst, dobra muzyka, dobre opracowanie, dobre wykonanie i interpretacja piosenek prezentowanych publicznie". Nie przyznano Grand Prix. Nagrody otrzymały grupy: AKT Wrocław, Dywersja Pozytywna i Zegro.

Na scenie w 1987 r. zaprezentowało się 26 wykonawców, większość stanowiły zespoły z Zielonej Góry. Grand Prix przyznano zespołowi Ex Nonet, I miejsce zajął Leszek Kopeć z Krakowa, II – ex aequo grupy Bez próby, Jan Syn Andrzeja, Szarotki i Yaki.

Czternastą Włóczęgę w auli WSI poprzedził kabareton z udziałem zielonogórskich kabaretów Drugi Garnitur i Barszcz z Krokietem. W koncercie „Turistikon" występowały znane w kraju zespoły m. in. Bez Jacka oraz laureat z 1988 r. Leszek Kopeć. Wyniki konkursu wydają się być potwierdzeniem obserwacji o zmniejszającej się popularności piosenki turystycznej. Jury nie przyznało Grand Prix i I miejsca. Laureatem jedynej nagrody został Leonard Luther. Fundatorzy gitary klasycznej w twardym futerale i kamery marki Kwarc zdecydowali, że nagrody zostaną przeniesione na następny przegląd.

Wiosenny termin Włóczęgi 1990 r. nie został utrzymany. Przegląd udało się zrealizować dopiero w grudniu. Do konkursowego śpiewania w auli WSI zgłosiło się 8 grup i wykonawców. Oprócz amatorów wystąpili profesjonaliści, m.in. Olek Grotowski, Małgorzata Zwierzchowska, Karol Płudowski, Jerzy Paweł Duda, Adam Drąg. Grand Prix trafiła do grupy Znani i Lubiani ze Starego Kisielina (nikt z członków grupy wtedy nie był związany z podzielonogórską wsią). I miejsce zajęła grupa Portret Żony Jego z WSP. Miss Gracji Włóczęgi '90 została Anna Banat, flecistka Portretu. Piętnasta edycja przeglądu to oprócz dużych koncertów recitale studenckich twórców i koncerty z tematem. Pojawiła się muzyka country, piosenki o Łemkowinie, pastisz piosenki turystycznej.

Mimo że Włóczęga zaczęła tracić na znaczeniu i popularności, udało się zorganizować jeszcze trzy przeglądy w rytmie dwuletnim. W 1992 r. w przeglądzie uczestniczyło sześć podmiotów i znane ze sceny grupy Bez Jacka, Wolny Wybór i Raz, Dwa, Trzy oraz Adam Drąg. Pierwszą nagrodę pierwszą wyśpiewał Robert Mazurkiewicz, drugą – Dagmara Korona z zespołem Dzień Powszedni, trzecią – Anna Pich z grupą ABC.

Kolejny przegląd w 1994 r. odbył się w klubie U Ojca z udziałem jedenastu podmiotów wykonawczych z sześciu miast Polski. Grand Prix otrzymała grupa Szukam Reksia z Wrocławia. Równorzędne nagrody otrzymali: Ewa Andrzejewska, Dagmara Korona-Persowska z zespołem Konferansjer, Sławomir „Słowik" Kaczmarek z Fikandera, Tomasz Sienicki z grupy Bez Nazwy. Osiemnasta Włóczęga w 1996 r. odbyła się w kameralnym gronie w auli Politechniki Zielonogórskiej i była częścią programu IV Ogólnopolskiego Zlotu Winobraniowego organizowanego przez uczelniane PTKraj. Wcześniej 13 wykonawców z kraju można było oglądać na winobraniowej scenie na zielonogórskim deptaku. Prezentowane różne style muzyczne, od tradycyjnych studencko-turystycznych klimatów poprzez blues, rytmy hiszpańskie po reggae. Nie było jury, ocenę wystawiła publiczność, według niej zwyciężyła Jolanta Sip z Lublina. Wśród wykonawców byli m. in. Krzysztof Kiliański i Eugeniusz Bukowski „Bruno".

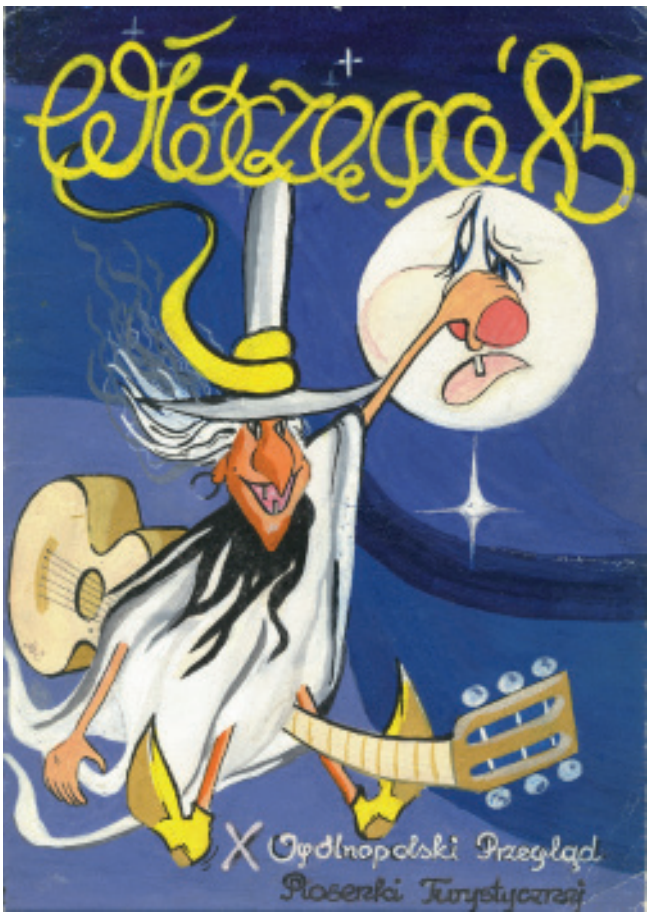

Ostatnimi, zaznaczyć trzeba udanymi próbami nawiązania do chlubnej tradycji przeglądu, były imprezy w 2009 i 2010 r. Organizacją Przeglądu Piosenki Nieobojętnej „Włóczęga" zajęli się studenci Uniwersytetu Zielonogórskiego z Radia Index i Akademickiego Koła Fotograficznego „Flesz".

Halina Bohuta-Stąpel

Wesoły jak grünberczyk

Otto Julius Bierbaum to poeta, pisarz, dramaturg, dziennikarz, eseista, autor tekstów kabaretowych, twórca literatury dziecięcej, wydawca, podróżnik. Spod jego pióra wyszło kilkadziesiąt dzieł poetyckich i pisanych prozą. Był twórcą sentencji do dziś funkcjonujących w obiegowym języku niemieckim.

O. Bierbaum urodził się w Grünbergu (Zielonej Górze) 28 czerwca 1865 r. uczył się, studiował i pracował w Lipsku, Dreźnie, Zurychu, Monachium, Berlinie. Jest autorem kultowej powieści pokolenia modernizmu i dekadencji „Stilpe". Przyjaźniąc się ze Stanisławem Przybyszewskim uczynił go bohaterem swojej powieści „Prinz Kuckuck" („Książę Kukułka"), a i sam stał się jedną z kluczowych postaci „Moich współczesnych" S. Przybyszewskiego.

Wydany w zawrotnej ilości 100 tysięcy egzemplarzy zbiór liryków „Irrgarten der Liebe" („Miłosne rozterki") był ulubioną lekturą słynnej aktorki Marleny Dietrich, a muzykę do jego wierszy komponował m.in. Ryszard Strauss. Do sięgnięcia po liczący ponad 400 stron zbiór swoich jakże różnorodnych klimatycznie wierszy zachęca autor takim oto lirykiem w moim przekładzie: „Siostry i bracia moi, czy chcecie / Odwiedzić ze mną przestronny mój ogród? / Wejdźcie! Zapraszam. On stoi otworem. // Szczęściem mym jest was wszystkich ugościć. / I nie czekam ja na nic lepszego / niż szczypta wdzięczności wprost z waszych serc".

M. Dietrich na końcowej karcie swojej autobiografii napisała, że klimat wiersza O. Bierbauma „Traum durch die Daemmerung" („Marzenie o zmierzchu") przywodzi jej na myśl najpiękniejsze chwile życia spędzone na obrzeżach Paryża. Oto ten wiersz w moim przekładzie: „ Łąka śpi już o szarej godzinie, / Słońce zaszło, gwiazdy tuż-tuż, / Idę ku najpiękniejszej dziewczynie, / Białą łąką o szarej godzinie, / Przez jaśminowy brnąc busz // Szarówką w krainę miłości, /. Nie spiesząc się, nie idę szybko, / Biała smuga drogę mą mości, / Brnę szarówką w krainę miłości / Do światełka za błękitną szybką".

Jego poczynania literackie miały ogromny wpływ na rozwój twórczości kabaretowej Berlina i Monachium, a wypromowany w kabarecie Die Elf Scharfrichter (Jedenastu Katów) przebój „Er fuehlt sich der lustige Ehemann" („Wesoły żonkoś") stał się jednym z najbardziej popularnych szlagierów teatrzyków rewiowych przełomu XIX i XX w.

Liryki, relacje z podróży i wiersze o tematyce biesiadno-winiarskiej autorstwa O. Bierbauma drukowane były zarówno w wydawnictwach wielkich ośrodków literackich, jak i w jego rodzinnym mieście na łamach „Grünberger Wochenblatt". Całą jego twórczość, w tym także lirykę, cechuje dyskretny humor, groteska, autoironia. Świadczy o tym chociażby treść sentencji widniejącej na tablicy pamiątkowej, umieszczonej w listopadzie 2010 r. na fasadzie zielonogórskiej kamienicy w Zielonej Górze przy ul. Kupieckiej 25, w której prawdopodobnie mieściła się cukiernia jego ojca: „Humor ist, wenn man trotzdem lacht" („Humor polega na tym, by śmiać się mimo wszystko").

O. Bierbaum powrócił na karty literatury polskiej w międzywojniu – jeden z jego liryków mistrzowsko przetłumaczył Leopold Staff. Po II wojnie światowej zielonogórzanin Alfred Siatecki uczynił go jednym z bohaterów książki „Czwarty klucz do bramy", a ja, mieszkanka podzielonogórskiego Wilkanowa, przybliżam twórczość poety polskiemu czytelnikowi tłumacząc liryki jego autorstwa.

O. Bierbaum wbrew brzmieniu własnego nazwiska nie przepadał za piwem, a chętnie raczył się winem, także tym pochodzącym z Zielonej Góry. Zrealizowany 2015 r. siłami zielonogórskich regionalistów, poetów, aktorów i kabareciarzy film „33 minuty w Zielonej Górze, czyli w połowie drogi" (muzyka i scenariusz H. Bohuta-Stąpel na podstawie farsy Karla von Holteia, reżyseria Tomasz Łupak) kończy pieśń biesiadna, zawierająca strofy zaczerpnięte z wiersza Bierbauma w tłumaczeniu scenarzystki. Ponad setka rozbawionych osób – aktorów i statystów tej komedii muzycznej – wyśpiewuje chóralnie w finale filmu fragment tego oto wiersza: „Jak dobrze, że nasz Pan Bóg wielki / jesienią wlewa do butelki /wino czerwone, wino białe. / Świat stary, ale wino młode, / więc nogi same o podłogę / wybijają rytm na boską chwałę. // Tańczymy w rytmie bardzo starym / autorstwa rajskiej, nagiej pary / praojców z bożej mocy. / Październikowy wiatr nas kręci, / więc tańczmy, magią owładnięci / jak w sztok pijani prorocy. // Wlewajmy wino w nasze usta, / pal licho jesień, gdy rozpusta / winna tumani głowę! / Ech, wiwat Stwórco, tyś jest wielki / gdy wino wlewasz do butelki / i białe, i czerwone!" Ten film ten reprezentował polską kinematografię w bloku Polskie Horyzonty na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Europy Środkowej i Wschodniej, Cottbus 2016.

fot. Wikipedia

Otto Julius Bierbaum (1865-1910)

O. Bierbaum zmarł 1 lutego 1910 r. w Kötzschenbroda koło Drezna. Rok po śmierci jego prochy przeniesiono na monachijski cmentarz Der Münchner Waldfriedhof, gdzie, w kwaterze WAT 43-W-22 spoczywają do dziś.

Arkadiusz Cincio

Ojciec wina musującego

Z Friedrichem A. Gremplerem związane są trzy obiekty będące symbolem dawnej świetności zielonogórskiego winiarstwa: dom przy ulicy Sikorskiego, domek winiarski na Wzgórzu Ceglanym i zabudowania dawnej wytwórni win przy Moniuszki.

fot. Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej

W 1818 r. na Winnym Wzgórzu, gdzie była winnica należąca do Friedricha Gremplera, jej właściciel postawił domek, w którym dolnej kondygnacji przechowywał narzędzia niezbędne na plantacji winorośli, na górnej było mieszkanie. Obecnie domek jest częścią Palmiarni.

Niezwykle istotnym wydarzeniem w historii zielonogórskiego winiarstwa było założenie w 1826 roku pierwszej w Niemczech wytwórni win musujących. Zakład został utworzony przez trzech wspólników: Carla Samuela Häuslera (1787-1853), Friedricha Adolpha Gottloba Förstera (1804-1873) i Friedricha Augusta Gremplera. Z trójki wspólników najbarwniejszą postacią był pochodzący z Jeleniej Góry C. Häusler, który zapisał się jako kupiec, urzędnik, poeta, nauczyciel, przedsiębiorca i wynalazca. To właśnie dzięki jego inicjatywie z gron zebranych pod jego nadzorem w 1824 r. do handlu powstało pierwsze wino gronowe musujące. F. Förster należał do znamienitego zielonogórskiego rodu. Jego ojciec Jeremias Sigmund Förster był największym w mieście producentem sukna.

W nazwie wytwórni utrwaliło się jednak nazwisko trzeciego założyciela spółki. A. Grempler był podobnie jak jego ojciec Christian Friedrich Grempler z zawodu mydlarzem. Rodzina matki Marii Dorothei z domu Mannigel zajmowała się z powodzeniem handlem, winiarstwem i sukiennictwem. Ojca A. Gremplera jako radnego miejskiego interesowały sprawy związane z winiarstwem i sadownictwem. W 1815 r. małżonką naszego bohatera została Juliane Eleonore Förtster, siostra późniejszego wspólnika, z którą doczekał się siedmiorga dzieci. Z biegiem czasu spółkę opuściło dwóch jej współzałożycieli. Jako pierwszy uczynił to już na początku lat czterdziestych XIX w. C. Häusler. Po śmierci F. Förstera w końcu 1873 r. najstarsza w Niemczech wytwórnia win musujących uzyskała nazwę „Grempler & Co". Udziały w firmie w tym czasie posiadał syn A. Gremplera – Alex Theodor August Grempler. Również A. Grempler junior doczekał się licznego potomstwa. Z branżą winiarską był związany jego wnuk Richard Grempler, który posiadał zakład produkujący rum i ocet przy ul. Tylnej. Wina z wytwórni Grempler & Co. były wielokrotnie nagradzane podczas targów w Londynie, Wiedniu i Paryżu.

Po II wojnie światowej na bazie majątku Gremplera powstała Państwowa Wytwórnia Win Musujących, dawniej Grempler & Co. w Zielonej Górze, która następnie przekształciła się w Lubuską Wytwórnię Win. Zakład ten produkował z dużym powodzeniem głownie wina owocowe, choć największą sławę przyniosły mu gronowe wermuty: Laur Lubuski i Monte Verde. Upadłość zakładu niestety wiązała się z upadkiem winiarskiego dziedzictwa obiektu. Zniszczone zostały niemal wszystkie elementy wyposażenia. W zabytkowych pomieszczeniach po wytwórni Grempler & Co. Obecnie funkcjonują różne firmy i restauracja. Na części terenu należącego niegdyś do LWW wzniesiono osiedle mieszkaniowe.

Najstarszy z zachowanych obiektów związanych z postacią A. Gremplera, domek winiarski na Wzgórzu Ceglanym (niem. Ziegelberg), został wzniesiony w 1818 r. W przeciwieństwie do mniejszych drewnianych domków winiarskich pełnił głównie funkcje reprezentacyjne. Po powstaniu wytwórni Grempler & Co. budynek wraz z przylegającą do niego winnicą stał się jej własnością. Po II wojnie światowej przeszedł w posiadanie miasta. W 1956 r. dobudowano do niego szklarnię. Od lat sześćdziesiątych funkcjonował tam lokal gastronomiczny. Z biegiem lat Palmiarnia stała się jedną z wizytówek miasta. Konieczność jej rozbudowy była spowodowana nie tylko rosnącą popularnością, ale także wzrostem roślin, w tym szczególnie najbardziej okazałego daktylowca kanaryjskiego. Ostatnia rozbudowa Palmiarni miała miejsce w latach 2006-2008. W wyniku wspomnianych działań zabytkowy dom winiarski przestał dominować nad Wzgórzem Ceglanym, zwanym obecnie Wzgórzem Winnym. Winiarska przeszłość budynku jest najbardziej widoczna w jego podziemiach, które użytkuje Zielonogórskie Stowarzyszenie Winiarskie.

Najmniej znaną budowlą związaną z A. Gremplerem jest jego wybudowany w 1831 r. dom przy ul. gen. Władysława Sikorskiego. Nocowały w nim wybitne osoby podróżujące przez Zieloną Górę, wśród nich król Prus Fryderyk Wilhelm IV z małżonką. W domu Gremplerów odbywały się także liczne bale. Obecnie budynek zajmuje Izba Administracji Skarbowej. W nadświetlu drzwi od strony podwórza znajduje się kuty monogram z inicjałami inwestora F.A.G. i rok 1831.

Przebudowy i zmiany funkcji budynków z nim związanych świadczą o upadku zielonogórskiego winiarstwa w II połowie XX w. W dobie ożywionego zainteresowania zielonogórskimi tradycjami winiarskimi postać Augusta Gremplera zasługuję z całą pewnością na popularyzację.

Od autora: W trakcie pisania artykułu korzystałem z książki Mirosława Kuleby „Topografia winiarska Zielonej Góry".

Wiesław Hładkiewicz

Drugi rektor pochodził z Poznania

Jan Antoni Wąsicki urodził się 17 czerwca 1921 roku w Pruszkowie na Mazowszu. Po skończeniu szkoły elementarnej kontynuował naukę w gimnazjum w rodzinnym mieście. Nie ukończył go jednak z powodu wybuchu II wojny światowej. Podczas okupacji dokształcał się na tajnych kompletach w Kraju Warty (Wielkopolska).

Po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim. Ukończył je w 1948 r. otrzymując stopień magistra.

Pracę zawodową podjął w macierzystej uczelni jako asystent. W 1950 r. uzyskał stopień doktora nauk prawnych. Działalność naukową i dydaktyczną prowadził w Katedrze Historii Ustroju Państwa na Wydziale Prawa i Administracji UP. Był prorektorem poznańskiej uczelni. W 1952 r. uzyskał habilitację, w 1960 tytuł profesora nadzwyczajnego i profesora zwyczajnego w 1970.

W wyborach do Sejmu w 1965 r. zdobył mandat posła w okręgu poznańskim. Pracował w komisjach Oświaty i Nauki oraz Wymiaru Sprawiedliwości. Cztery lata później został ponownie wybrany na posła.

Na początku lat 60. XX wieku J. Wąsicki miał wykłady w punkcie konsultacyjnym Uniwersytetu Adam Mickiewicza w Zielonej Górze.

W 1964 r. został wybrany na prezesa Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, które wówczas powstało w Zielonej Górze. Podjął też zajęcia dydaktyczne w utworzonej w 1971 r. Wyższej Szkole Nauczycielskiej w Zielonej Górze. W 1973 r. WSN jako Wyższa Szkoła Pedagogiczna otrzymała status uczelni akademickiej. W 1975 r. insygnia władzy rektora tej uczelni prof. J. Wąsicki odebrał z rąk poprzednika prof. Hieronima Szczegóły. Był nominowany na rektora dzięki przychylnej postawie miejscowych władz politycznych. Funkcję rektora sprawował przez dwie kadencje, tj. do 1981 r. W tym czasie otworzono dwa nowe kierunki studiów: bibliotekoznawstwo i informację naukową oraz filologię germańską i dokończono budowę domu studenckiego liczącego 600 miejsc oraz hali sportowej.

W okresie sprawowania władzy rektorskiej przez J. Wąsickiego dziesięciu

fot. Archiwum Uniwersytetu Zielonogórskiego

Jan Antoni Wąsicki (1921-1995)

pracowników naukowo-dydaktycznych WSP uzyskało awans w postaci habilitacji i trzydziestu – stopnie doktorskie. Zielonogórska uczelnia wówczas nawiązała współpracę z wieloma ośrodkami naukowymi w kraju i za granicą.

Zdaniem prof. H. Szczegóły („Uniwersytet Zielonogórski – Miesięcznik Społeczności Akademickiej", nr z lipca 2004) „Obie kadencje rektora J. Wąsickiego były kontynuacją kierunków rozwoju uczelni wytyczonych wcześniej. Dokończono inwestycje wcześniej rozpoczęte, dom akademicki na 600 miejsc budowany w latach 1974-1977 oraz Halę Sportową (1975-1978). Nie udało się natomiast dokończyć budowy zespołu dydaktycznego przy ul. Wojska Polskiego 69 (rektorat, administracja, Studium Języków Obcych). Również dwa nowe kierunki studiów: bibliotekoznawstwo i informacja naukowa (1975) i filologia germańska (1976) uzyskały już wcześniej akceptację Ministerstwa. (...) na WSP zmniejszyła się w drugiej połowie lat 70. liczba studiujących z 3483 w 1976 r. do 2829 w 1980. Ustabilizowała się liczba studentów dziennych na poziomie ok. 1500, natomiast zmalała liczba studiujących zaocznie".

Zapamiętałem prof. J. Wąsickiego jako spolegliwego rektora, człowieka otwartego dla studentów. Często ich odwiedzał w domu studenta. Zapraszany był na poczęstunek, herbatę i kawę. Był lubiany przez społeczność akademicką.

Po 1981 r. powrócił do Poznania i pracy na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Przeszedł na emeryturę na początku lat 90. Na uniwersytecie prowadził nadal seminaria naukowe jako emerytowany profesor prawa.

Był wybitnym prawnikiem, który specjalizował się w historii państwa i prawa polskiego, pruskiego i niemieckiego. Tą problematyką zajmował się w wielu rozprawach i opracowaniach. Jest m.in. autorem trzytomowego studium historycznoprawnego „Ziemie polskie pod zaborem pruskim" poświęconego stanowieniu prawa w Prusach Południowych, Prusach Nowowschodnich i w Wielkim Księstwie Poznańskim. Opublikował opracowania naukowe dotyczące historii prawa: „Rzesza a kraje niemieckie 1914-1949. Między unitaryzmem a federalizmem", „Rzesza i państwa niemieckie 1789-1815", „Związek Niemiecki i państwa niemieckie 1815-1848" oraz „Związek Niemiecki i Druga Rzesza Niemiecka 1948-1914".

Pod jego redakcją ukazało kilka publikacji dotyczących przeszłości regionu lubuskiego, m.in. „Zielona Góra. Przeszłość i teraźniejszość" (wspólnie z Michałem Sczanieckim), „Gorzów Wielkopolski. Przeszłość i teraźniejszość".

Za swoją aktywność zawodową i naukową był odznaczony Krzyżem Komandorskim, Oficerskim i Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Zmarł 6 kwietnia 1995 r. w Poznaniu. Pochowany jest na tamtejszym cmentarzu Junikowskim.

Longin Dzieżyc

Półtora wieku kolei

Pierwszy oficjalny wjazd pociągu do Zielonej Góry miał miejsce 1 października 1871 r. o godzinie 9.00. Na historyczny skład czekali wiwatujący mieszkańcy. Pierwszy rozkład jazdy przewidywał dziesięć pociągów osobowych na dobę.

W 2021 r. przypada 150. rocznica utworzenia kolei w Zielonej Górze. To ważne wydarzenie godne jest szczególnego upamiętnienia, zarówno z uwagi na jego znaczenie dla dziejów miasta, jak i wpływ samej kolei na kształtowanie nowoczesnych społeczeństw.

Dalekie podróże zintensyfikowały międzyludzkie kontakty, zrewolucjonizowały transport towarów i przesyłek pocztowych, zbliżając poszczególne regiony i kraje. Strategiczna rola kolei sprawiła, że jej sprawne funkcjonowanie w dużym stopniu kształtowało wizerunek państwa.

W południowej części regionu lubuskiego pierwszym połączeniem kolejowym był fragment tzw. Berlinki zbudowany przez Niederschlesisch-Märkische Eisenbahn-Gesellschaft (Towarzystwo Kolei Dolnośląsko-Marchijskiej). Ta szczególnie ważna trasa łączyła Śląsk z Berlinem. Odcinek tego szlaku, wybudowany w latach 1845-1846, przebiegał przez Bolesławiec, Węgliniec, Żary, Lubsko i Gubin. Na nim właśnie ekspres spalinowy Latający Ślązak pobił w 1936 roku światowy rekord prędkości wynoszący 205 km/h.

Wiele okoliczności sprawiło, że mieszkańcy Zielonej Góry musieli czekać na kolej w swoim mieście jeszcze blisko ćwierć wieku. Starania rozpoczęli już w latach 40. XIX stulecia, kiedy jeden z wariantów planowanej trasy Berlin-Wrocław zakładał jej przebieg przez Zieloną Górę. Blisko sukcesu było w 1866 r., gdy projektowano linię Gubin-Poznań. Jednak położenie Winnego Grodu na wzniesieniach skutecznie zniechęciło inwestora. Z tego powodu pociąg pojawił się tu dopiero w 1871 r., kiedy nastąpiło otwarcie linii Głogów-Zielona Góra-Czerwieńsk, będącej częścią dłuższej trasy z Legnicy do Szczecina, łączącej Śląsk z portami nadbałtyckimi.

Pierwszy oficjalny wjazd pociągu do Zielonej Góry miał miejsce 1 października 1871 r. o godzinie 9.00. Na historyczny skład czekali wiwatujący mieszkańcy, wieczorem z tej okazji zorganizowano ucztę. Pierwszy rozkład jazdy przewidywał dziesięć pociągów osobowych na dobę. Połączenie kolejowe było dla miasta oknem na świat. Umożliwiało wygodną i szybką komunikację z odległymi ośrodkami. Położenie na szlaku kolejowym stwarzało ówczesnej Zielonej Górze zupełnie nowe perspektywy i możliwości, stąd dworzec znalazł się wśród jej najważniejszych budowli ukazanych na barwnej litografii Gustawa Schwarza z końca XIX w. Zasadnicze znaczenie miała już sama jego lokalizacja. Według pierwotnej koncepcji miał być umiejscowiony w obrębie dzisiejszej ulicy Ogrodowej. Ostatecznie jednak znalazł się poza obszarem miasta, na północnym wschodzie, około 1 km od centrum. Takie usytuowanie ukształtowało nową oś urbanistycznego rozwoju Zielonej Góry, sprawiając, że dawna piaszczysta dróżka na przełomie XIX i XX w. zamieniła się w Bahnhofstrasse (obecnie al. Niepodległości) – promenadę z reprezentacyjnymi willami, kamienicami i budynkami użyteczności publicznej.

Linia kolejowa stwarzała także nowe możliwości rozwoju społeczno-gospodarczego. W bezpośrednim sąsiedztwie dworca powstała filia Dolnośląskich Zakładów Budowy Maszyn, która w 1874 r. dała początek firmie Georga Beuchelta, należącej do największych na Śląsku i w całych Niemczech. Blisko dworca w 1886 r. Heinrich Raetsch wzniósł wytwórnię wysokiej jakości koniaków, destylaty te znano w Niemczech i za granicą.

Przełom XIX i XX w. przyniósł zielonogórskiej kolei nowe inwestycje. Powstawały tory bocznicowe, parowozownia oraz budynek administracyjny. W 1902 r. postawiono nowy, dwupiętrowy budynek dworca, naprzeciwko którego powstał między innymi hotel. Dwa lata później Zielona Góra stała się węzłem kolejowym, otwarto bowiem nową linię do Krzystkowic, umożliwiającą połączenie z Żarami.

Szczególnego rodzaju inwestycją o charakterze prywatnym było otwarcie w 1911 r. trasy kolejowej Zielona Góra-Szprotawa. Liczyła ona ponad 50 kilometrów i przebiegała głównie przez obszary o charakterze rolniczym i leśnym. Stąd podstawowym transportowanym towarem były płody rolne, ziemniaki oraz drewno. W latach 1939-1944 znaczną część stanowiły wyroby stalowe przewożone między zakładami Beuchelta oraz hutą Wilhelma ze Szprotawy. Po uruchomieniu nowej linii w niewielkim ośrodku, jakim była ówczesna Zielona Góra, znajdowały się aż trzy dworce kolejowe.

Także po II wojnie światowej kolej jako środek transportu była ważnym elementem życia gospodarczego miasta. Bowiem wszystkie większe zakłady produkcyjne miały własne bocznice kolejowe, a tory do nich prowadzące tworzyły gęstą sieć połączeń. Jeszcze w latach 90. XX w. przecinały one wiele ulic, potwierdzając dobitnie duże znaczenie kolei w gospodarczym rozwoju Zielonej Góry.

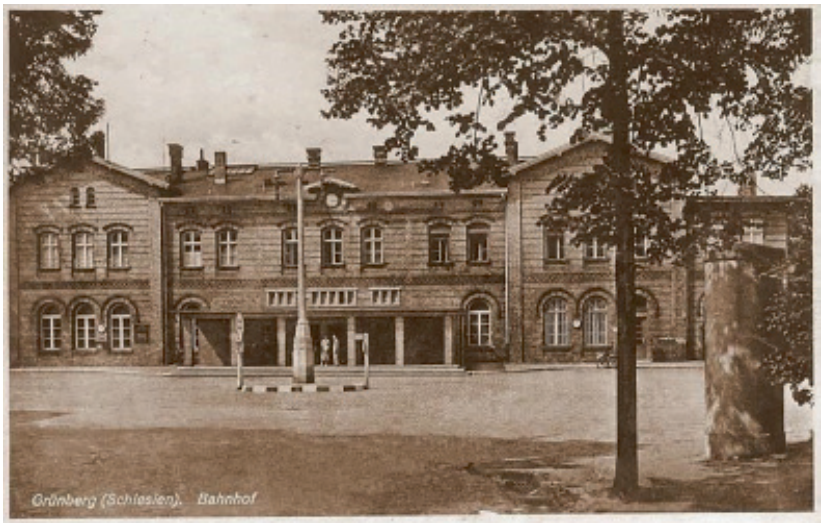

Stary dworzec kolejowy był czynny do 1970 roku

Archiwum Muzeum Ziemi Lubuskiej

Ryszard Zaradny

Takie były początki koszykówki

Zielonogórski basket w drugiej dekadzie XXI wieku przeżywa swoje lata świetności. Zastalowcy zdobyli pięciokrotnie mistrzostwo Polski, dwa razy drugie i trzecie miejsce. W poprzednim numerze przedstawiliśmy pierwsze lata tej dyscypliny w Zielonej Górze. Obecnie druga część tekstu.

W latach 50. rywalizacja zielonogórskich zespołów koszykówki miała wymiar lokalny. Początkowo jej ramy obejmowały ówczesne województwo poznańskie. Jedynym reprezentantem w rozgrywkach mistrzowskich klasy, A okręgu poznańskiego była ZKS Spójnia. Jej trenerem i opiekunem od 1945 r. był Julian Nalepa. Dzięki jego doświadczeniu i systematycznie przeprowadzanym treningom, drużyna składająca się przeważnie z młodzieży szkolnej, przez trzy lata z powodzeniem walczyła o mistrzostwo klasy A, zajmując w tabeli jedno z czołowych miejsc. W 1950 r. do rozgrywek drużyna przystąpiła w składzie: kapitan zespołu Mieczysław Kuleczka, Jerzy Wysocki, Maciej Pawłowski, Tadeusz Gzik, Czesław Matusiewicz, Zbigniew Raczyński, Jerzy Pudłowski, Czesław Makutynowicz i Marian Wroński (po ukończeniu służby wojskowej). Później w zespole tym grali także: Witkowski, Gołaszewski, Majerowicz, Matysiak, Kardasz (od 1955 r. w Zielonych), Gzik, Rybak, Pietrusiński.

W tych rozgrywkach rywalizowali z zespołami Poznania, Leszna, Września, Rawicza, Gniezna i Jarocina. Od 1951 r. po wydzieleniu województwa zielonogórskiego rywalizacja ta ograniczona została do zespołów – oprócz Zielonej Góry – Wschowy, Nowej Soli, Krosna, Gubina i Gorzowa. W tym okresie była wyraźna supremacja zespołu Spójni. W braku odpowiedniej klasy przeciwników upatrywano słaby rozwój zespołu, co w rezultacie powodowało niespodziewane porażki (na przykład z Kolejarzem Rawicz u siebie w stosunku 82:42). Sytuacja zmieniła się wraz z pojawieniem się zespołu Stali, w którym instruktorem i czołowym zawodnikiem był Lech Birgfellner. Występowała w nim cała plejada koszykarzy, którzy stanowili o sile zespołu i wywalczyli dominującą pozycję w zielonogórskiej koszykówce. Należeli do nich między innymi: Matysik, Markwitz, Majerowicz, Kiciński, Gołaszewski, Grochowiak, Sodoma, Turłowicz, Janasik i później Oleszkiewicz, Siciński, Ranachowski. Zespoły te w 1951 r. spotkały się czterokrotnie i każdorazowo zwycięsko wychodzili stalowcy. Spójnia po stracie swoich czołowych graczy (Wysockiego, Pawłowskiego, Raczyńskiego, Pudłowskiego, Makutynowicza) nie mogła odzyskać dawnej formy.

WOJEWÓDZKA KLASA A

Koszykówka stawała się coraz popularniejsza w Zielonej Górze i również relatywnie stale podnosił się jej poziom. Jak kontestowali komentatorzy prasowi, była to wówczas jedyna dyscyplina w województwie, którą „bez wstydu możemy pokazać w całej Polsce". Wśród wielu, którzy swoją ofiarną pracą potrafili z surowej młodzieży zmontować dobre drużyny koszykówki Spójni i Stali, należy w pierwszym rzędzie wymienić J. Nalepę i L. Birgfellnera. Korzystne dla rozwoju było pojawienie się silnego i podejmującego skuteczną rywalizację z nimi zespołu Gwardii. Trzon zespołu tworzyli między innymi: Czyszanowski, Markowski, Woźniak, Gajewski, Moskaluniec, Banachowski, Kiciński, Płonka, Siciński.

Rywalizacja tych trzech drużyn odbywała w ramach rozgrywek wojewódzkich klasy A, z reguły zajmując czołowe miejsca. W tej grupie występowały też zespoły z Gorzowa, Nowej Soli, Wschowy, Gubina, a nawet krótko z Połupina koło Krosna. Zwycięzca uzyskiwał prawo do startu w walce o awans do II ligi i określany był mianem mistrza

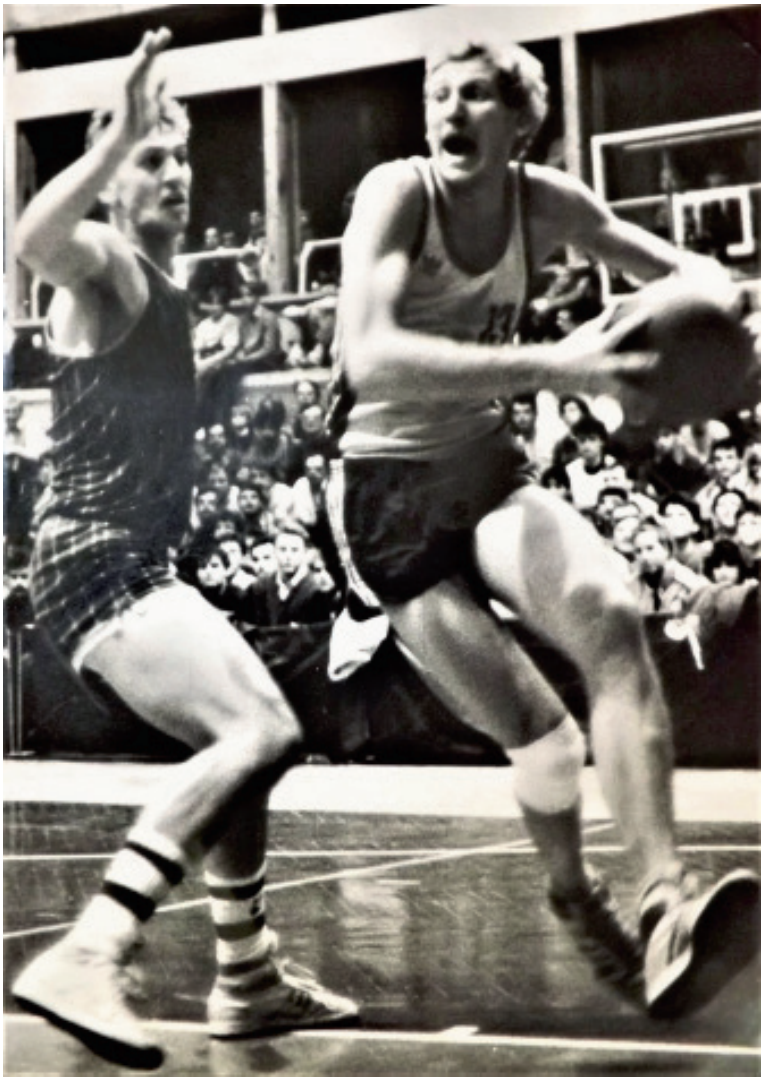

Czesław Bortnowski (z piłką) należał do najlepszych zielonogórskich koszykarzy, grał w reprezentacji Polski

województwa. Podobnie było w walce o trofea lokalne – puchar województwa w ramach eliminacji Pucharu Polski czy puchar Zielonej Góry. Odnotować jednak trzeba iż w 1957 r. koszykarze zielonogórskiej Lechii w rozgrywkach o Puchar Polski w I rundzie pokonała w Warszawie Spartę 56:50, a w spotkaniu II rundy rozegranym w Szczecinie zwyciężyła Czarnych 58:49 (na tym etapie nie brały udziału zespoły I i II ligi).

Niestety, konfrontacje z zespołami ościennych regionów, szczególnie o awans do II ligi, kończyły się niepowodzeniem. Przykładowo koszykarzom Stali (później Zastalu) nie udało się w 1954 r., pomimo specjalnych przygotowań pod okiem L. Birgfellnera i obozu kondycyjno-szkoleniowego (także zasileniu Gołaszewskim ze Spójni), awansować. Do rywalizacji przystąpiły ekipy Gwardii Koszalin, Kolejarza Szczecin, Gwardii Poznań i Gwardii Wrocław. W turnieju Stal wystąpiła w składzie: Birgfellner, Sodoma, Grochowiak, Turłowicz, Matysik, Gołaszewski, Markwitz i Janasik. Do rozgrywek finałowych awansowały zespoły Gwardii z Wrocławia i Poznania. Stal zajęła trzecie miejsce. Przegrane mecze były wyrównane, a wśród przyczyn porażek młodego zespołu upatrywano w zbyt dużym graniu jedną piątką oraz fakt, że zmian dokonywał grający trener L. Birgfellner.

Reprezentant kraju, wychowanek Zastalu Mariusz Kaczmarek (5 na koszulce) razem z druzyną dwukrotnie zdobył brązowy medal podczas mistrzostw Polski

AWANS DO II LIGI

W roku następnym w Krakowie rywalizowały drużyny CWKS Wrocław, Start Kraków, Start Warszawa, Sparta Sopot i Stal Zielona Góra, z których aż cztery uzyskiwały awans do II ligi. Stalowcy dysponowali tylko sześcioma zawodnikami i wobec tego zmuszeni byli wszystkie spotkania grać niemal jedną piątką, a to dawało pewną przewagę przeciwnikom. Drużynę tworzyli: Sodoma, Gołaszewski, Matysik, Grochowiak, Turłowicz, Oleszkiewicz. Nie udało się zrealizować koncepcji ewentualnego wzmocnienia przez zawodników innych zespołów, co poważnie zwiększyłoby ich szanse, a awans byłby korzystny dla rozwoju koszykówki w Zielonej Górze. Wąski skład powodował, że mając poważne szanse na zwycięstwo, traciła je, kończąc spotkanie, po popełnieniu pięciu fauli, nierzadko w trójkę.

W 1956 r. pomni ubiegłorocznych doświadczeń na turnieju grali w 11-osobowym składzie: Gołaszewski, Grochowiak, Birgfellner, Kozłowski, Turłowicz, Oleszkiewicz, Siciński, Sodoma, Ranachowski, Jankowski, Czerniak. Koszykarze Zastalu na turnieju eliminacyjnym w Szczecinie zajęli II miejsce za AZS Poznań, który pokonał zastalowców 62:22, a przed Zrywem Koszalin i Startem Szczecin. Tym razem awansem premiowana była tylko jedna drużyna, który przypadł AZS-owi Poznań. Do finałowych rozgrywek o wejście do II ligi zakwalifikowali się także: Górnik Wałbrzych, AZS Białystok i Garbarnia Kraków.

W 1956 r. powołano dziesięciodrużynową ligę międzywojewódzką – III ligę obejmującą województwa: zielonogórskie, wrocławskie i poznańskie. Z każdego województwa uczestniczyły po trzy najlepsze zespoły lig wojewódzkich (jedno wolne miejsce dla drużyny z czwartego miejsca). Województwo zielonogórskie reprezentowali: Zastal, Zieloni i LZS Krosno. Takie rozwiązanie było korzystne dla zielonogórskiej koszykówki, bowiem kontakt z drużynami Wrocławia i Poznania, gdzie da dyscyplina osiągnęła wysoki poziom, wpłynął na wzrost umiejętności i jakość gry. Zespoły te górowały przede wszystkim wyszkoleniem technicznym i taktycznym. Pozostałe nadal uczestniczyły w rozgrywkach wojewódzkiej A klasy.

Dobrze w nich radził sobie Zastal, który po pierwszej rundzie był liderem, by ostatecznie wyprzedzony przez drużynę Polonii Leszno zająć drugie miejsce (Zieloni Zielona Góra zajęli ósme miejsce przed LZS Krosno). Drużynę Zastalu, trenowaną przez L. Birgfellnera, wówczas tworzyli: Apanasowicz, Czerniak, Grochowiak, Janasik, Markwitz, Oleszkiewicz, Ranachowski, Siciński, Sodoma, Turłowicz. Drużynie Zielonych zdarzały się niezrozumiałe sytuacje. Do meczu z Piastem Wrocław przystąpili tylko z pięcioma zawodnikami (nie stawili się Kiciński, Kardasz i Przybyła). Na siedem minut przed końcem meczu za pięć osobistych opuścił boisko Pawłowski i Zieloni grali ostatnie minuty we czwórkę (przegrali różnicą 1 punktu 55:54).

W następnych latach drużynie Lechii (dawniej Zastalu) wiodło się różnie. Najczęściej lokowali się w górnej części tabeli. Potrafili zwyciężyć lidera III ligi Energetyka Poznań na wyjeździe (58:50), ale

też ponosili jednak nieoczekiwane porażki, jak z Kolejarzem w Rawiczu (61:63). W styczniu 1959 r. z pracy w Lechii zrezygnował trener L. Birgfellner, jego obowiązki przejął J. Nalepa.

W 1971 r. podczas koszykarskich mistrzostw kraju w Toruniu zielonogórscy juniorzy zajęli pierwsze miejsce

NARYBEK

W latach 50. organizowano zawody pomiędzy reprezentacjami województw lub miast. Od 1951 r. rozgrywany był turniej o puchar Ziem Nadbałtyckich i Nadodrzańskich. Udział w turnieju brały reprezentacje województw: wrocławskiego, opolskiego, szczecińskiego, koszalińskiego, gdańskiego, olsztyńskiego i zielonogórskiego. W celu wyłonienia reprezentacji regionu rozgrywano turniej towarzyski drużyn zielonogórskich. Do reprezentacji zakwalifikowani zostali: ze Stali: Birgfellner, Zatoński, Sodoma, Turłowicz, Grochowiak (szybki) i Markwitz, z Gwardii: Markowski (strzelec), Czyszanowski (szybki i dobry strzelec), Ranachowski i Sadowski i ze Spójni: Wroński i Majerowicz. W 1955 r. reprezentację tworzyli: Apanasowicz, Baranowski, Czyszanowski, Gołaszewski, Grochowiak, Kardasz, Kowala, Kiciński, Matysiak, Oleszkiewicz, Pawłowski, Pietrażycki, Skrobański, Siciński, Sodoma, Turłowicz. Podobnie postępowano przed meczami towarzyskimi z Wrocławiem, Poznaniem, Szczecinem czy Opolem.

Tworząc zespoły koszykówki, nie zapominano o narybku. Ten rozwijany był przede wszystkim w Międzyszkolnym Klubie Sportowym Zryw (do 1957 r. Zrzeszenie Sportowe Zryw). Konfrontacje z krajowymi konkurentami wychodziły obiecująco. W 1954 r. w ramach eliminacji do I Centralnej Spartakiady Zrzeszenia Sportowego Zryw rywalizowały zespoły mistrzowskich drużyn ZS Zryw z Warszawy, Łodzi, Stalinogrodu (dzisiaj Katowice), Kielc i Zielonej Góry. Zdecydowanie zwyciężyła drużyna Zielonej Góry nie ponosząc żadnej porażki. Podobny sukces Zryw odniósł w 1956 r., awansując bez porażki do finału spartakiad zrzeszenia w Krakowie. Wyróżniającymi się zawodnikami byli między innymi Apanasowicz i Oleszkiewicz, którzy z powodzeniem grali w zespole Stali (Zastalu).

W 1957 r. zorganizowane zostały z inicjatywy Szkolnego Związku Sportowego rozgrywki w koszykówce. Do udziału w nich zgłosiło się 15 drużyn męskich i 13 żeńskich, które podzielono na grupy. Rozgrywki w grupach prowadzone były systemem każdy z każdym mecz i rewanż. Na podstawie wyników rozgrywek utworzono szkolną ligę koszykówki.

Charakterystyczną cechą powojennego okresu była uniwersalność młodych osób, wyróżniających się sprawnością fizyczną. Zazwyczaj aktywni byli nie tylko w swoich podstawowych dyscyplinach, lecz i w innych. Przykładem jest S. Oleszkiewicz, który oprócz tego, iż był wyróżniającym się koszykarzem, to był także najlepszym skoczkiem wzwyż w regionie zanim nie nastąpiła era Edwarda Czernika.

W 1955 r. utworzona sekcja piłki ręcznej Stali Zielona Góra ubiegała się w o awans do I ligi w turnieju odbywanym w Szczecinie. Trzon zespołu tworzyli zawodnicy sekcji koszykówki: Gzik, Janasik, Kardasz, Kiciński, Majerowicz, Matysik, Oleszkiewicz, Pawłowski, Przybyła, Sodoma, Turłowicz. Niepowodzenie walki o awans stanowił jednocześnie kres tego zespołu szczypiornistów.

Dalszy rozwój koszykówki w Zielonej Górze był w głównej mierze zasługą trenerów prowadzących zespoły na przestrzeni lat 60., a w latach 50. zapisujący historię jako zawodnicy, jak między innymi: L. Birgfellner, J. Czyszanowski, A. Gołaszewski, R. Grochowiak, C. Majerowicz, M. Pawłowski, B. Turłowicz. Inni, jak Cz. Makutynowicz czy L. Probużański, rozwijali sport akademicki. Niezwykle aktywny na niwie sportowej był L. Birgfellner – oprócz działalności czysto sportowej jako zawodnik i trener – pełnił wiele funkcji organizatorskich w administracji państwowej, będąc między innymi sekretarzem SKS, wicekuratorem oświaty, inicjatorem i moralnym twórcą pierwszej w kraju szkoły średniej z rozszerzonym programem wychowania fizycznego – VII Liceum Ogólnokształcącego, a także w latach 1969-1970 przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki. W 1969 r. obronił doktorat. W latach następnych rozgrywany był w Zielonej Górze cykliczny turniej koszykówki o memoriał im. Lecha Birgfellnera.

Od redakcji: publikowane zdjęcia pochodzą z archiwum trenera i pedagoga Leonarda Siwickiego

Jerzy Przybecki

Codziennie idę i codziennie bliżej

Urodziłem się w Nowej Soli. Do Zielonej Góry trafiłem na stałe po skończonym liceum pedagogicznym w Lubsku. Wcześniej przez rok pracowałem w szkole w Grochowie, to był jeszcze powiat Lubsko, rok 1967.

Pojeździłem po Europie i świecie. Był taki czas, kiedy dwa razy w tygodniu odwiedzałem naszą stolicę i wojewódzkie miasta, jednak zawsze najbardziej lubiłem wracać do domu, bo kocham to miejsce. Tę „Zielonkę". Będąc jeszcze w szkole podstawowej pamiętam, jak ojciec wyjeżdżał do Zielonej Góry, bo była to wyprawa na cały dzień. Ojciec jechał autobusem lub pociągiem na narady do Okręgowej Dyrekcji Lasów Państwowych. Po powrocie opowiadał, a my słuchaliśmy o tym „wielkim" wojewódzkim mieście. Ojciec był leśnikiem w Przyborowie. Należał do współzałożycieli tego pierwszego po drugiej wojnie światowej nadleśnictwa, potem pracował w Gorzupi, Karlikach, Żagańcu i Trzebowie. Reorganizacje w lasach były często, stąd te przeprowadzki. W latach sześćdziesiątych XX wieku ojciec miał nawet propozycję przeprowadzki w Bieszczady, ale mama nie zgodziła się na wyjazd.

Po raz pierwszy byłem w Zielonej Górze w 1965 roku, później przejazdem do Międzyrzecza, gdzie jako uczniowie liceum braliśmy udział w odsłonięciu Pomnika 1000-lecia postawionego, jak się wtedy mówiło, dla uczczenia powrotu ziemi międzyrzeckiej do Macierzy. Od tego czasu bywałem w Zielonej Górze po kilkanaście razy w roku.

Do Państwowego Liceum Pedagogicznego w Lubsku trafiłem za namową o rok starszej siostry, która była uczennicą tej szkoły. Koniecznie chciałem nauczyć się gry na akordeonie, w liceum była taka możliwość, zdałem egzamin wstępny i tam zostałem. Dzisiaj myślę, że nie spełniłem oczekiwań ojca, który chciał, abym i ja został leśnikiem. Tym bardziej że byłem jedynakiem, pozostałe rodzeństwo to cztery siostry. W liceum gra na instrumencie była obowiązkowa (do wyboru akordeon, skrzypce i mandolina), chociaż ze słuchem nie było tak, jak trzeba, bo zbyt długo przechodziłem mutację. Ostatecznie nauczyłem się grać na mandolinie. W tamtym czasie chyba większość z nas chciała po skończeniu szkoły iść do pracy, brakowało nauczycieli (a mężczyzn w szczególności), więc ze znalezieniem zajęcia nie było problemów. Mieszkałem w internacie przy ulicy Dąbrowskiego 1. Pokoje były różne: od dwuosobowych po siedmioosobowe. Te mniejsze były przeznaczone dla uczniów klas starszych, a w największym, który nazywaliśmy Syberią, mieszkało ośmiu kolegów. W internacie było nas zawsze od 34 do 40. Do domu jeździliśmy raz w miesiącu, była to tak zwana niedziela wyjazdowa. Jechałem pociągiem, bilet na trasie Lubsko-Trzebów kosztował ze szkolną zniżką 2,40 zł. Tyle co duży, czyli dwukilowy bochenek chleba. Przywoziliśmy różne wiktuały głównie w słoikach, ciasto i owoce. Swojej roboty smalec był w powszechnym użyciu. Pobudka o siódmej, gimnastyka na świeżym powietrzu, prowadził ją zawsze kolega ze starszej klasy – później miałem tę przyjemność także, mycie – ci z piątej czasami się już golili – ścielenie łóżek, siódma trzydzieści – wyjście do stołówki, która była w internacie żeńskim przy Wojska Polskiego, jakieś pół kilometra od naszego internatu. Przy drzwiach stał wychowawca, który sprawdzał, czy buty wyczyszczone, koszule i spodnie wyprasowane, tarcza przyszyta.

W niedzielę wszystko odbywało się o godzinę później i bez gimnastyki. Stoliki w stołówce były czteroosobowe, mieliśmy dyżury, porcje były przygotowane na talerzach, kawałek masła, porcja dżemu, sera, kiełbasy ryba, kaszanka zasmażana, herbata, mleko i kakao w dzbankach, a zupa w wazach bez ograniczeń.

Po śniadaniu szliśmy do budynku, gdzie mieściło się liceum – tuż przy rzece Lubica, którą pieszczotliwie nazywaliśmy Smródką. Przy wejściu stał dyżurny nauczyciel, który sprawdzał tylko tarcze i kapcie. Po zajęciach obiad – wydawany był od trzynastej do piętnastej. Po obiedzie mieliśmy czas wolny do siedemnastej, potem obowiązkowe odrabianie lekcji z nauczycielem w internackiej świetlicy do osiemnastej trzydzieści. Przejście na kolację, powrót i od kiedy mieliśmy telewizor, a był to Wawel, było oglądanie dziennika i teatru sensacji bardziej znanego jako Kobra. Nauka indywidualna odbywała się w pokojach, ćwiczenia gry na instrumencie w piwnicy. O dwudziestej pierwszej pół godziny na mycie, O dwudziestej drugiej cisza nocna. W każdym pokoju było lampowe radio, więc znana stacja Luksemburg grzała się do czerwoności.

Z czasów szkolnych zapamiętałem między innymi coroczne turnieje w „kosza". Turniej liceów pedagogicznych, których było sześć w województwie zielonogórskim (Lubsko, Nowa Sól, Ośno Lubuskie, Sulechów i Zielona Góra), odbywał się w sali sportowej przy Chopina w Zielonej Górze. Byliśmy zakwaterowani w ogólniaku po drugiej stronie ulicy, u Makusynów. Makusyni ze wspaniałym wychowawcą Zbigniewem Czarnuchem byli szeroko znani w regionie i poza nim. Lubskie harcerstwo z komendantką Marią Pelińską i Wandą Rudkowską (koleżanka, absolwentka PLP) było także znakomite.

Korowód winobraniowy przechodził aleją Niepodległości. Dla nas wszystko było ważne i inne. Inne niż w Lubsku, Żaganiu czy Żarach, a już całkiem inne dla mnie, chłopaka z leśniczówki w Trzebowie.

Wtedy zobaczyłem budynek, w którym mieściła się redakcja „Gazety Zielonogórskiej", którą codziennie zaczynało się czytać od ostatniej strony, gdzie był sport i program radiowy. Jako licealista mieszkający w internacie zawsze słuchałem wszystkiego, co nadawało Radio Zielona Góra, a szczególnie audycji „Radioporanek", bo codziennie była piosenka dnia. Piosenka naszych kultowych zespołów i piosenkarzy. Przyznaję się bez wstydu, że my, licealiści z Lubska, trochę zazdrościliśmy tym wielkomiejskim dziewczynom i chłopakom, bo oni mieli większy luz, dostęp do klubów czy do tego, co można nazwać szerszą kulturą. Ale w odbiorze muzyki i wiedzy o niej biliśmy wszystkich na głowę – co miesiąc

fot. Archiwum autora

Jerzy Przybecki w otoczeniu harcerek szczepu Włóczęgi, 1971 r.

przyjeżdżali do szkoły artyści z Operetki Poznańskiej, była nauka, słuchanie i odbiór muzyki poważnej, pokazy, demonstracje i konkursy.

W sporcie też nie byliśmy gorsi, chociaż tacy trochę zahukani. Nadrabialiśmy zaległości, uczyliśmy się tego nowego świata i korzystaliśmy z tego, co było w pobliżu. Nauczyciele robili wszystko, żebyśmy za mocno nie odstawali od zielonogórzan. A sport otwierał bramy do szerszego świata, stwarzał możliwość poznania województwa i kraju. Między innymi dlatego przyjeżdżaliśmy do Zielonej Góry filmować korowód winobraniowy, koncerty zespołów młodzieżowych, imprezy sportowe. Należałem do klubu filmowego Mix przy Powiatowym Domu Kultury w Lubsku (na marginesie – jako uczniowie pomagaliśmy przy jego budowie). Mieliśmy niebieskie legitymacje międzynarodowego stowarzyszenia filmowego UNICA, wyglądające jak prasowe, z wpisem „Uprasza się urzędy i instytucje o udzielenie posiadaczom niniejszej legitymacji pomocy przy wykonywaniu czynności w zakresie działalności i twórczości filmowej". Taką legitymację wykorzystywałem jeszcze w Zielonej Górze, jak już zagościłem na stałe w mieście, gdyż członkiem lubskiego klubu byłem aż do 1971 r.

Z czasem zająłem się bardziej fotografią. W czwartej klasie liceum przejęliśmy po starszych kolegach kółko fotograficzne, a w Studium Nauczycielskim na drugim roku zostałem szefem koła studenckiego. Fotografowanie i filmowanie to niezwykła umiejętność i cierpliwość w oczekiwaniu na ten jedyny moment, który na trwale zapiszesz. Ważne, żeby trafić na jego prawdziwość, niezwykłość. Filmowanie i fotografowanie zmusza do cierpliwości i poszukiwania. Tego wszystkiego uczył nas instruktor i dyrektor Powiatowego Domu Kultury w Lubsku Stanisław Koposow. W Zielonej Górze z Lubuskim Klubem Filmowym nie nawiązałem kontaktu, czego żałuję, bo przecież pamiętam, że rządził tam znany nam Janusz Łomski.

W liceum już w czwartej klasie mieliśmy przedmioty pedagogiczne, a w piątej propedeutykę filozofii. Każdy wybierał sobie ucznia ze Szkoły Ćwiczeń, która była obok i zapisywał jego zachowania. W trzeciej klasie ze Stanisławem prowadziliśmy drużynę zuchową, byłem przybocznym, on drużynowym. Moja mama podczas okupacji należała do harcerstwa, była drużynową. Ona zaszczepiła we mnie harcerstwo (w domu na ścianie zawsze wisiał krzyż harcerski). Na pierwszy obóz pojechałem do Złotnik Lubańskich z żagańskiego hufca po skończeniu piątej klasy. Z lubskiego hufca pojechałem na drugi obóz do Lubrzy. W kolejnych latach byłem na obozach w Chociulach i Lginiu. Prowadzona przez nas drużyna była mistrzowska.

W tej drużynie zdobyłem pierwszy stopień instruktorski. W nagrodę pojechałem do Mongolii – miał być miesiąc, a zrobiło się o dwa tygodnie więcej. To była oficjalna delegacja: w jej składzie znalazły się dwie dziewczyny z Gorzowa, trójka z Lubska, Hania Engelman z Komendy Chorągwi ZHP w Zielonej Górze i Stefan Kojło z Głównej Kwatery w Warszawie. Na lotnisku w Ułan-Bator miałem niezwykłą przygodę. Mianowicie spotkałem znaną powszechnie redaktor Alicję Zatrybówną z „Gazety Zielonogórskiej". Gdy mnie zobaczyła w mundurze instruktorskim z orzełkiem na lewej kieszeni i z aparatem fotograficznym, a miałem szkolnego Feda, poprosiła o krótką lekcję. Pokazałem, jak szybko i dobrze zrobić zdjęcia (bez ciągłego ustawiania odległości), jak przewinąć film i założyć kliszę. Powiedziała, że koledzy z redakcji dali jej aparat, powiedzieli „Zrobisz, pomogą ci" i odprowadzili na lotnisko. Chyba miała czeskiego Fleksareta i to z pryzmatem pentagonalnym – moje marzenie. Tam także, ku mojemu zdziwieniu i zaskoczeniu, spotkałem kolegę z sąsiedniej wsi, który pojechał do Mongolii z OHP.

Po skończeniu liceum rozpocząłem pracę w Szkole Podstawowej w Grochowie. Utworzyłem drużynę harcerską, zorganizowałem harcówkę, zapowiadało się, że może tam zostanę. W trakcie wakacji zadzwonił kolega. „Słuchaj, w Zielonej Górze na eSeNie został utworzony nowy kierunek tylko dla absolwentów liceów. Wychowanie techniczne i plastyczne".

Tu rozpocząłem i zakończyłem studia.

Pojechałem na rozmowę kwalifikacyjną i zostałem przyjęty do studium. Dostałem stypendium i mieszkanie w akademiku. Stołówkę mieliśmy w budynku głównym na placu Słowiańskim. Dyrektorem był dr Henryk Pochanke, zastępcami Stefan Boliński i Zygmunt Zadworny. Kilku wykładowców przeszło potem do Wyższej Szkoły Nauczycielskiej, między innymi Jerzy Brzeziński. Należałem do Studenckiego Kręgu Instruktorskiego.

Na SN spotkałem swoją harcerską miłość. Tu odbył się jedyny bodaj w Polsce ślub instruktorski, pięknymi zdjęciami udokumentowany w ogólnopolskim miesięczniku „Motywy". Ślub zorganizowała nam Komenda Chorągwi i SKI. Przyjęcie weselne odbyło się w budynku organizacji młodzieżowych przy Bohaterów Westerplatte. Przewiązani harcerską krajką, złożyliśmy zobowiązanie instruktorskie i zostałem podharcmistrzem. W uroczystości uczestniczyła cała KCh z komendantem Michałem Pepińskim, dyrektorem SN Stefanem Bolińskim, komendantką Hufca Lubsko Marylą Pelińską i Wandą Rudkowską. I oczywiście byli przy tym nasi rodzice. Otrzymaliśmy piękne życzenia od przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Jana Lembasa.

Ślub wzięliśmy 7 marca 1970 r. w mundurach harcerskich. Byłem na drugim roku studiów. Do ratusza przyszedł cały mój rok. Ktoś z przechodniów zapytał, co to za zbiegowisko. Moi koledzy, znani kawalarze, odpowiedzieli: „Z okazji Święta Kobiet baba z babą biorą ślub". Podróż poślubną odbyliśmy limuzyną marki Wołgą na Wzgórza Piastowskie, gdzie był największy plac budowy. Mieliśmy tam dostać mieszkanie dopiero za dziesięć lat.

Później w Wyższej Szkole Inżynierskiej studiowałem organizację i zarządzanie. „Jak zaliczysz matematykę u Sosulskiego, to już będzie z górki" – tak mówiono i tak też się stało. WSI była bardzo dobrą uczelnią, otwartą na nowości. Wiele z niej wyniosłem, wiele się nauczyłem. I prawie wszystko się przydało.

Tu urodziła się nasza córka, która skończyła historię w Wyższej Szkole Pedagogicznej, pracuje w administracji. Mieszkamy blisko siebie, mamy zdolnego wnuka, laureata wielu konkursów, wkrótce też będzie studentem. Co najważniejsze, mamy dobry kontakt z całą rodziną. Wnuk często pyta, jak było. Pyta i słucha.

Jestem na emeryturze.

Działam w Towarzystwie Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918/1919. Na terenie województwa zielonogórskiego po drugiej wojnie światowej mieszkało ponad 2 tys. powstańców wielkopolskich i członków ich rodzin. Dlatego syn powstańca nieżyjący już Bolesław Wytrykus założył tu pierwsze koło. Pierwszym prezesem oddziału lubuskiego był Stanisław Jaroszewicz.. Przejąłem funkcję prezesa i prowadziłem ten oddział przez 16 lat. Mimo że w 2018 r. przekazałem pałeczkę młodszemu koledze, pozostałem prezesem. Honorowym. Moi rodzice byli Wielkopolanami. W Zielonej Górze jest kilkudziesięciu mieszkańców, których rodowód i powiązania rodzinne sięgają Powstania Wielkopolskiego. Wielkopolanie byli pierwszymi, którzy tworzyli administrację miejską i regionalną.

Zielona Góra jest siedzibą oddziału TPPW. W województwie istnieje 12 kół: trzy – w Zielonej Górze, po jednym w Babimoście, Kargowej, Krośnie Odrzańskim, Nowej Soli, Sulechowie, Szprotawie, Witnicy, Wschowie i Żaganiu. Powstańców już nie ma, są członkowie ich rodzin, sympatycy i przyjaciele bohaterów tamtego wydarzenia, które także objęło sporo miejscowości położonych na obecnym pograniczu lubusko-wielkopolskim. Przeszło do historii jako jedyna tak udana insurekcja w dziejach Polski. Mój pomysł i ukochane dziecko to pomnik Dobosza na placu Powstańców Wielkopolskich w Zielonej Górze, która, nie mam wątpliwości, już jest moim miastem. Cieszę się, że udało się upamiętnić w postaci tablic i obelisków w naszym województwie te miejsca, gdzie przebywali powstańcy wielkopolscy 1918/1919.

Mój pomysł i ukochane dziecko to pomnik Dobosza na placu Powstańców Wielkopolskich w Zielonej Górze

Na początku lat dziewięćdziesiątych poprzedniego wieku pełniłem funkcję redaktora naczelnego wychodzącego w Zielonej Górze „Lubuskiego Nadodrza". Głównym celem czasopisma było promowanie młodych twórców. Twierdzę, że jak na tamten czas, periodyk był ciekawy, stawał się coraz lepszy i pewnie gdyby nie wzrost kosztów wydawniczych, nadal by trwał.

W Zielonej Górze ukazały się cztery zbiorki moich wierszy. Mam więc prawo powiedzieć, że zostawiłem swój ślad. Najbardziej lubię wiersz napisany w 1987 r. „Zapach dnia":

Naprzeciw wstążki życia
idę dwa razy drogą
tam i z powrotem
Codziennie liczę kroki
Codziennie ich przybywa

W zapachu codzienności
dwa razy wolniej idę
okryty dnia kopułą
codziennie liczę grzechy
codziennie ich ubywa
Codziennie idę
Codziennie bliżej

Napisałem także sporo wierszy i artykułów o tematyce myśliwskiej, dotyczących między innymi zielonogórskiego łowiectwa. Zrealizowałem część dużego projektu – stały wystrój Holu Turkusowego w żagańskim Pałacu Książęcym. Hol w lewym skrzydle był ozdobiony trofeami myśliwskimi – tak jak było za Talleyrandów – wespół z kolegami myśliwymi i przy pomocy zarządu okręgowego Polskiego Związku Łowieckiego przywróciliśmy tamten czas.

Bardzo ciepło wspominam Zieloną Górę z dworcem kolejowym z czerwonych cegieł, starą Palmiarnię, którą remontował Ziutek, przyjaciel ze spółdzielni Luksmet, restauracje Ratuszową i Piastowską, kawiarnię Studencką. Nie da się zapomnieć kolarzy, mety Wyścigu Pokoju i ich pobyty w akademiku przy Wojska Polskiego, gdzie po drugiej stronie ulicy były ogródki, pola i winnice. Nie mogę zapomnieć o placu z ławeczkami naprzeciwko budynku organizacji młodzieżowych, gdzie była między innymi była Komenda Chorągwi ZHP. Do sądnego dnia będę pamiętać tysiąclatkę przy Lisiej, w której zaczynałem pracę, dyrektora Wiktora Markowskiego i jego zastępcę Halinę Kuśnierz. W tej szkole zbudowałem drugą harcówkę, byłem szczepowym w stopniu harcmistrza, poprowadziłem dwa letnie obozy.

Karykaturzyści pokazali maski

Grand Prix jury przyznało artyście plastykowi i karykaturzyście Tomaszowi Brodzie, doktorowi habilitowanemu we wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych. Nagrodę naszego stowarzyszenia otrzymał mieszkający w Widawie malarz, grafik i karykaturzysta Jacek Frąckiewicz.

Pierwszy zielonogórski konkurs na rysunek satyryczny odbył się ćwierć wieku temu. W 1986 roku jego tematem była prasa. Wygrała praca Henryka Cebuli. Przez pięć kolejnych lat karykaturzyści z Polski i reszty świata nadsyłali swoje prace na takie tematy jak: książka, sztuka, telewizja. Potem nastąpiła czternastoletnia przerwa. W 2004 r. o konkursie przypomniał sobie kożuchowski Zamek, a właściwie Ryszard Błażyński, który kierował tą instytucją i był jego pomysłodawcą. Nawet zawiązało się stowarzyszenie Debiut przede wszystkim jako organizator konkursu. Od 2008 do 2010 r. członkowie Debiutu przeprowadzili trzy edycje konkursu, realizując całe przedsięwzięcie w kilku mieszkaniach i salonach zaprzyjaźnionych instytucji. W 2011 po uniform organizatora sięgnęła biblioteka Norwida i od tego roku przy pomocy rozmaitych zielonogórskich instytucji i stowarzyszeń zaprasza satyryków z całego świata do udziału w konkursie. Każdego roku jego temat jest inny. Rysownicy mieli za zadanie w sobie właściwy sposób zilustrować na przykład takie zagadnienia jak: ochrona przed chłodem i upałem, wino, muzeum, medi@społecznościowe, sztuczna inteligencja, plastik. Tematem prac konkursowych w 2021 r. była maska, co nie powinno dziwić, wszak od wielu miesięcy był to niemal codzienny widok na ulicach.

Na konkurs wpłynęły 672 prace (o 91 więcej niż rok wcześniej) wykonane przez 202 satyryków z 32 krajów. Grand Prix jury przyznało dr. hab. Tomaszowi Brodzie, na co dzień adiunktowi w Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, zajmującemu się ilustracją prasową i książkową, plakatem, rysunkiem, malarstwem, scenografią, projektowaniem kostiumów teatralnych. Pierwszą nagrodę otrzymał artysta grafik, designer i karykaturzysta Witold Mysyrowicz (był laureatem w 2011 r.) z Warszawy, drugą – satyryk z Chorwacji Mojmir Mihatov (był laureatem w 2020 r.), trzecią – ilustrator, plakacista, rysownik Zygmunt Zaradkiewicz z Izabelina pod Warszawą. Komisja konkursowa przyznała nagrody specjalne ufundowane przez patrona konkursu i instytucje zielonogórskie. Nagrodę Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica" otrzymał Jacek Frąckiewicz z Widawy na ziemi łódzkiej. Od czasu do czasu jego rysunkami ilustrowaliśmy teksty w „NW". Laureatem nagrody prywatnej, ufundowanej przez Ryszarda Błażyńskiego, prezesa naszego stowarzyszenia i pomysłodawcę konkursu, został absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego Grzegorz Myćka (laureat nagrody specjalnej w 2010 r.) z Poznania. Pozostałe laury specjalne otrzymali: Igor Vartchenko z Cypru (nagroda Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego), Luc Vernimmen z Belgii (nagroda Zielonogórskiego Ośrodka Kultury) i Michael Mayevsky z Ukrainy (nagroda Biura Wystaw Artystycznych w Zielonej Górze).

Konkurs odbywał się pod patronatem Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury i Muzeum Karykatury w Warszawie.

Ps. W polsce jest tylko jeden konkurs na rysunek satyryczny większy od zielonogórskiego. To Satyrykon w Legnicy.

AS

Tomasz Broda – Grand Prix

Jacek Frąckiewicz – nagroda specjalna

Grzegorz Myćka – nagroda specjalna

Pomysłowi na start!

Konia z rzędem temu, kto wyjaśni, dlaczego w 1922 roku grünberczycy hucznie świętowali 700-lecie miasta. Brakuje dokumentu wskazującego, w którym roku Zielona Góra otrzymała prawa miejskie. Mogło to być około 1323 r.

Współcześni badacze dziejów Zielonej Góry bardziej się domyślają niż wiedzą, jakie były powody świętowania700-lecia. Pierwszy: wiosną 1922 r. zostało otwarte muzeum miejskie w budynku dawnej kaplicy staroluterańskiej przy Naustadstrasse (obecnie kościół polskokatolicki przy dr. Pieniężnego). Drugi: Hugo Schmidt napisał swoje dzieło życia, czyli monografię poświęconą historii miasta „Geschichte der Stadt Grünberg Schles.". Trzeci, najbardziej prawdopodobny: po przegranej przez Niemcy pierwszej wojnie, jak mówi bohater powieści „Szwindel w Grinbergu", „wszelkimi sposobami trzeba podnosić poziom ducha narodowego, aby już nigdy nie powtórzyło się to, co miało miejsce w Compiègne".

Władze Zielonej Góry zdecydowały, że w 2022 r. miasto będzie świętowało 800-lecie osadnictwa. Rok później 700-lecie nadania praw miejskich, mimo że dotąd nie odnaleziono dokumentu potwierdzającego ten fakt. Prezydent miasta powołał komitet organizacyjny obchodów obu jubileuszy. Obowiązki przewodniczącego powierzył prof. dr. hab. Czesławowi Osękowskiemu z Uniwersytetu Zielonogórskiego. W komitecie powstały sekcje: historyczna, tradycji winiarskiej i turystyki, sportowa, kulturalna, do spraw rozwoju miasta, ekologiczna, ekonowoczesnego miasta.

Zarząd naszego stowarzyszenia zwraca się z prośbą do członków i sympatyków o włączenie się do obchodów. Przewodniczący skierował apel, pisze w nim m.in.: Za moment nasze miasto wejdzie w obchody 800-lecia. I tu widzę dużą naszą rolę w postaci szczególnej aktywności członków TMZG„Winnica". Wydaje mi się, a także większości członków zarządu z którymi rozmawiałem, że w tej szczególnej sytuacji powinniśmy zarzucić władze Zielonej Góry wnioskami i inicjatywami związanymi z tymi obchodami. Miasto przeznacza na projekty związane z obchodami 800-lecia sporą sumę, dlatego powinniśmy spróbować powalczyć o jej chociaż częściowe zdobycie. Nasi członkowie to elitarna grupa mieszkańców Zielonej Góry, reprezentujących różne zawody i mających szereg ciekawych zainteresowań. Na dziś mamy szanse zaproponować swoje pomysły, takie jak różne akcje, tematyczne konferencje, spotkania z ciekawymi ludźmi, wystawy, wydawnictwa, które będą związane z naszym miastem. Oczywiście pomysłodawcy będą prowadzili swoje projekty przy wsparciu zarządu oraz (jak myślę) innych członków naszego stowarzyszenia. Nie wszystko udaje się nam zrealizować – np. na wydanie encyklopedii Zielonej Góry nie udało uzyskać wsparcia władz miasta, ale nie pasujemy.

800 LECIE POWSTANIA ZIELONEJ GÓRY
700 LECIE NADANIA PRAW MIEJSKICH

Od wiosny do jesieni

Wśród czterech dębów, które posadzono w Parku Naukowo-Przemysłowym Uniwersytetu Zielonogórskiego w Zielonej Górze-Nowym Kisielinie, są Czesław i Wojciech. To imiona rektorów UZ – profesorów Osękowskiego i Strzyżewskiego – uczelni która w 2021 r. obchodziła swoje dwudziestolecie. Pozostałe dęby to Michał (prof. Kisielewicz) i Tadeusz (prof. Kuczyński). Pod drzewami umieszczono tablice pamiątkowe. Dęby dały początek Alei Rektorskiej.

Prozaik Przemysław Piotrowski otrzymał nagrodę kulturalną prezydenta Zielonej Góry. Wydawcą jego powieści od 2020 r. jest warszawskie wydawnictwo Czarna Owca, które zaczęło współpracę z pisarzem od trylogii „Piętno", „Sfora" i „Cherub". W pierwszej połowie 2021 r. wyszła „Krew z krwi", w drugiej – „Matnia", późną jesienią ma się ukazać trzecia tegoroczna powieść zielonogórzanina.

W gdańskim wydawnictwie Oficynka ukazała się debiutancka powieść dr Aliny Polak-Woźniak i Iwony Mejzy „Zabójcze ajlawiu". Pierwsza współautorka jest naszą redakcyjną koleżanką, druga mieszka w Oświęcimiu i ma w swoim dorobku literackim więcej powieści.

Archeolog dr Bartłomiej Gruszka napisał książkę „Atelier fotograficzne w dawnej Zielonej Górze (Grünberg in Schlesien)". Wśród wydawców jest fundacja Tłocznia. Na 244 stronach autor zaprezentował ponad 300 ilustracji ukazujących zarówno zdjęcia dawnych mieszkańców miasta, jak i ogłoszenia prasowe umieszczane przez fotografów w lokalnej prasie. W numerze 5 „NW" opublikowaliśmy artykuł tego autora „Pierwsi zawodowi fotografowie".

„Kryminalne światy przeszłości" to najnowsza książka dr. hab. Marty Ruszczyńskiej napisana wspólnie z dr. Wolfgangiem Bryllą o części pisarstwa Stanisława Lema. Rzecz ukazała się w Oficynie Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Od 2 sierpnia do 30 września w wolsztyńskim Ogrodzie Kocha była czynna wystawa prac malarskich zielonogórzanki Izabeli Sak „Morskim okiem".

Nasi członkowie: dr Robert Rudiak, prezes zielonogórskiego oddziału Związku Literatów Polskich, Alfred Siatecki, prezes oddziału ZLP w latach 1991-1996, i Roman Czarnecki zostali wyróżnieni odznaką honorową Za Zasługi dla Województwa Lubuskiego.

Dropie, zwane polskimi strusiami, wyginęły w Polsce w latach 80. poprzedniego wieku. Wybitny znawca ptaków prof. dr hab. Leszek Jerzak z Uniwersytetu Zielonogórskiego zapowiedział reintrodukowanie tych ptaków na razie w regionach nadodrzańskich. Popiera go prof. dr hab. Piotr Tryjanowski z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica" zawarło umowę z Muzeum Ziemi Lubuskiej. Jest w niej mowa o wspieraniu działalności kulturalnej, historycznej, artystycznej i naukowej, przyczyniającej się do rozwoju miasta i regionu lubuskiego.

65 lat Filharmonii Zielonogórskiej

29 maja1956 roku odbył się pierwszy koncert Zielonogórkiej Orkiestry Symfonicznej. Jej upaństwowienie nastąpiło pięć lat później, wtedy też zespół otrzymał własną siedzibę. W 1974 r. orkiestra uzyskała status filharmonii. Od 1982 roku instytucja nosi imię wybitnego kompozytora polskiego Tadeusza Bairda. W latach 1986-2021 dyrektorem naczelnym i artystycznym zielonogórskich muzyków był Czesław Grabowski. Za jego kadencji nastąpiła rozbudowa filharmonii, która nie mogła pomieścić coraz liczniejszych melomanów. W 2004 r. otwarto nowoczesną salę koncertową noszącą nazwę Międzynarodowe Centrum Muzyczne „Wschód-Zachód".
Od września 2021 roku funkcję dyrektora Filharmonii Zielonogórskiej pełni Rafał Kłoczko.

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

1. Koncert inauguracyjny Zielonogórskiej Orkiestry Symfonicznej, dyrygent Mieczysław Tomaszewicz, 29.05.1956 r.
2. Filharmonicy pod dyrekcją Czesława Grabowskiego, fot. Archiwum FZ
3. Siedziba dzisiejszej Filharmonii, to niegdysiejszy Ewangelicki Dom Parafialny, powstały w 1900 r. w Grunbergu.
4. Koncert Światosława Richtera w FZ, 1977 r., fot. Tadeusz Ambroż
5. Ewa Michnik – dyrygent w latach 1972-1978 r. , fot. Archiwum FZ
6. Koncert z cyklu „Portrety filharmoników zielonogórskich", od lewej Stanisław Hajzer – koncertmistrz, Jarosław Żołnierczyk – skrzypce, 1986 r., fot. Bronisław Bugiel
7. Krzysztof Penderecki dyryguje orkiestrą FZ, 2008, fot. Archiwum FZ
8. Koncert promenadowy, 2015 r., fot. Archiwum FZ
9. Widok na rozbudowaną część FZ – Międzynarodowe Centrum Muzyczne Wschód-Zachód, powstałe w 2004 r.

Zakochani po uszy w Kresach Wschodnich

Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze im. Orląt Lwowskich w Żarach miało powstać przed 1989 r. Ówczesne władze uważały, że to nie jest dobry pomysł. Zgodziły się na utworzenie Klubu Tarnopolan w ramach PTTK. Towarzystwo zarejestrowało się dopiero w 2006 r.

Józef Tarniowy zapewnia, że stowarzyszenie powstało nie po to, aby konkurować z Polskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym. TTK organizuje wycieczki na Kresy, które mają charakter trochę poznawczy, ale przede wszystkim sentymentalny. Jednak zasadniczym celem stowarzyszenia jest przechowywanie pamięci o dziedzictwie kulturowym Polaków z Kresów Wschodnich. Patronem TTK są Orlęta Lwowskie. Jak wyjaśnia prezes Tarniowy, byli to młodzi ludzie tak samo bohaterscy jak powstańcy wielkopolscy.

Na pytanie: dlaczego stowarzyszenie zawiązało się w Żarach, J. Tarniowy ma taką odpowiedź: – Po drugiej wojnie na nowe ziemie Polski przesiedlono mieszkańców Podola, Wołynia, Polesia, Wileńszczyzny, o czym młode pokolenie nie zawsze pamięta. Z badań wynika, że większość mieszkańców ziem zachodnich ma korzenie kresowe. Zdajemy sobie sprawę, że regiony dolnośląski, lubuski i zachodniopomorski to nasze tereny. Chcielibyśmy jednak, aby nie zapominać, skąd się wywodzimy.

Wśród członków stowarzyszenia już jest niewielu tych, którzy urodzili się na Kresach. Z biegiem lat będzie ich jeszcze mniej. Obecnie dominują dzieci, wnuki i rzadziej prawnuki przesiedleńców. Zdaniem prezesa Tarniowego, który urodził się w Żarach, zainteresowanie młodych przeszłością dziadków i rodziców nie maleje, ale i nie wzrasta. Nawet odbywający się od 20 lat festiwal Wielkie Bałakanie, którego celem jest przypominanie języka i pieśni mieszkańców Kresów nie przyciąga tylu młodych, jak tego oczekują organizatorzy. A jest co oglądać i czego słuchać, bo na doroczne spotkanie przyjeżdżają grupy śpiewacze nie tylko z Polski, lecz także z Litwy, Ukrainy i Białorusi. W 2018 r. było aż 45 grup i 15 solistów, którzy wykonali około 200 pieśni kresowych i patriotycznych. Nie znaczy to, że artyści występują na pustym żarskim rynku. Pewnego rodzaju magnesem są ci soliści, którzy przyznają się do kresowych korzeni, na przykład Alicja Majewska czy Michał Bajor. Tyle że sprowadzenie zawodowych artystów przez organizację utrzymującą się ze składek to wydatek przekraczający jej możliwości finansowe.

Mniej kosztują sejmiki krajoznawcze. Na odbywające się co roku spotkania przyjeżdżają historycy, geografowie, regionaliści, publicyści i osoby zainteresowane dziejami ziem dawnej Rzeczypospolitej. W 2002 r. była mowa o Polakach na Bukowinie. Dwa lata później rozmawiano na temat piękna Podola. Późniejsze tematy spotkań to na przykład: „Tylko we Lwowie", „Na nieludzkiej ziemi", „Wileńszczyzna". Autorami głównych wystąpień byli między innymi: prof. Henryk Stroński – prezes Związku Polaków w Tarnopolu, ks. Andrzej Malik – duchowny z Tarnopola, Aleksander Kolman – historyk zajmujący się zbrodniami nacjonalistów ukraińskich.

Dla młodzieży stowarzyszenie organizuje konkurs „Poznajemy ojcowiznę kresową". – Tą formą popularyzacji wiedzy o Kresach zachęcamy młodych Lubuszan do rozmowy z dziadkami i babciami na temat dawnych czasów. Bywa, że młodzi zaglądają do szuflad i znajdują interesujące pamiątki w postaci zdjęć, ozdób czy nawet wyrobów ludowych – wyjaśnia prezes.

Stowarzyszenie organizuje wycieczki m.in. do Lwowa, Tarnopola, Kamieńca Podolskiego, Jazłowca i sąsiednich miejscowości. Zdarza się, że ktoś spośród uczestników trafia na pamiątki rodzinne lub spotyka spokrewnione osoby. I, jak twierdzi J. Tarniowy, każdy stara się przywieźć z Kresów coś, co traktuje jak talizman.

Nie tylko Kresy Wschodnie są w programie zainteresowania członków stowarzyszenia. Każdego roku dochodzi do wyjazdu na Górne Łużyce, gdzie w 1945 r. walczyli żołnierze II Armii Wojska Polskiego. Większość stanowili mężczyźni wywodzący się z Podola i Wołynia. Brali oni udział w tzw. operacji łużyckiej. Tym, którzy zginęli w walkach o Łużyce, wystawiono pomnik w Crostwitz. A ci, którzy przeżyli wojnę, zamieszkali na ziemiach zachodnich.

AS

Ogólnopolski Festiwal Polszczyzny i Pieśni Kresowej „Wielkie Bałakanie" urodził się w Węglińcu w 1999 r., od 17 lat organizuje go żarskie TTK.

Zdjęcia. Archiwum TKK

Spotkanie przy pomniku Żołnierza Polskiego z Kresów w Żarach. Napis informuje, że pomnik stanął w 2015 r., m.in. w inicjatywy członków TTK „W 97. rocznicę odzyskania niepodległości i obrony Lwowa, w 70. rocznicę zwycięstwa żołnierzy polskich w II Wojnie Światowej oraz w 70. rocznicę osadnictwa wygnańców kresowych na Łużycach i ziemiach zachodniej Polski".